

szurm.com.pl

SZTURM

miesięcznik narodowo-radykalny nr 6/2020 (69) ISSN 2450-5439

**NACJONALIZM
JEST OK!**

SZTURM.COM.PL

Spis treści

Grzegorz Ćwik - Nie klękajcie przed nimi	3
Grzegorz Ćwik - Powszedni nacjonalizm.....	9
O co w tym wszystkim chodzi?	10
Realia	12
Powszedni nacjonalizm	18
Grzegorz Ćwik - Z daleka od endecji.....	21
Endecja i polityka	23
Robotnicy, chłopci, ziemianie	31
Poparcie	35
Nowe czasy, nowy nacjonalizm	38
Monika Dębek - Z nadzieją w sercu, prosto do celu	41
Adrianna Gąsiorek - "Moralny" obowiązek - głosowanie wyborcze	43
Witomysł Myduj - SXE a medycyna stylu życia	48
Jarosław Ostrogńew - Charles Wing Krafft (19.09.1947-12.06.2020): artysta i nacjonalista	54
Patryk Płokita - Bushido - dusza Japonii, recenzja książki	63
Maksymilian Ratajski - Czego nas uczy Obóz świętych?.....	68
Norbert Wasik - Rola sejmowej komisji śledczej ds. „Amber Gold”	72
Oleś Wawrzakowicz - Kontrewolucja czasów współczesnych	83
Oleś Wawrzakowicz - Kwestia żydowska w ideologii rumuńskiego nacjonalizmu lat 20-30 XX wieku.....	86

Grzegorz Ćwik - Nie klękajcie przed nimi

Cieszcie się i radujcie póki możecie i macie czas. Zapamiętajcie prawdziwe emocje i bodźce, póki nie zostały uznane za „rasistowskie” i „dyskryminujące”. Rewolucja bowiem rozlewa się coraz szybciej nie tylko na USA, ale i wirus BLM dotykać zaczyna także krajów Europy. U nas wprawdzie jeszcze społeczeństwo nie jest tak przeżarte fetyszem całowania brudnych butów i przeproszania za winy innych, jednak sytuacja we Francji, Szwecji, Niemczech czy Wielkiej Brytanii nie napawa do optymizmu. O ile zwykle dystansuję się od porównań z bolszewickimi i komunistycznymi wzorcami, to tutaj właściwie nie ma wątpliwości. BLM to nic innego jak przeniesienie klasowych postulatów roku 1917 na płaszczyznę rasową i etniczną. BLM to wojna wypowiedziana białemu człowiekowi, jego historii, spuściźnie i dorobkowi. To także zamach na naszą kulturę – tak jak w Polsce po 1944 roku cenzurowano sztukę „burżuazyjną” i autorów „faszystowskich”, tak teraz coraz bardziej historycznie usuwa się wszystko co „rasistowskie”. Kolejne odcinki seriali i całe seriale, filmy, książki, wreszcie pomniki są niszczone i cenzurowane. Nikt nie pomyślał oczywiście by ocenzurować rasistowskie utwory Ice Cube’a, lub zwrócić uwagę na publiczne nawoływanie do ataków na białych, jakie padały z ust działaczy BLM. Oczekiwanie symetrii jest tutaj absolutnie naiwne. Nie o to przecież chodzi progresywiście, czerwonym obleczonym w łatki walki o równość ras czy liberałom, którzy przy typowym dla liberałów imbecylnym skłonni są do plucia na wszystko, co normalne.

South Park, Przyjaciele, Przemięło z wiatrem – to wszystko rasizm. Kościuszko, Churchill, Cezar – rasiści. Na krajowym poletku niepełnosprawni intelektualnie chcieli politycznej cenzury dla młodzieżowej powieści Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”. I nie łudźmy się, to dopiero początek. Nie tak dawno na łamach „Szturmu” pisałem, że nasi wrogowie nienawidzą śmiechu i poczucia humoru, a w gruncie rzeczy nienawidzą normalnych emocji. Dlatego też z typowo

komsomolskim zaciętrzewieniem gotowi są zakazać wszystkiego, każdego filmu, serialu czy książki i ostatecznie pozostawić nam do obejrzenia co najwyżej odpowiednio zaangażowany film o białych rasistach i uciskanych czarnych. Prawda zaś w tym wszystkim jest najmniej istotna, liczy się propaganda i legenda. Spójrzmy na to, od czego się zaczęło. Ciężko naćpany, chory na koronawirusa i mający ogólnie bardzo zły stan zdrowia kryminalista i aktor porno umiera podczas policyjnej interwencji. Natychmiast człowiek ten zostaje wzięty na sztandary, pochowany zostaje w złotej trumnie (sic!), wszędzie słyszymy jak to nasz dobry ziomek *dindu nuffin* chciał zacząć właśnie nowe życie. Rządziej się już wspomina, że to nowe życie zacząć chciał po kilku wyrokach, w tym jeden dostał za napaść rabunkową z bronią na kobietę w ciąży. No cóż – jaka rewolucja, taki „bohater”. Co ciekawe autopsja zwłok Georga wykazała brak poważnych uszkodzeń krtani. Ten gość nie udusił się, a zwyczajnie zszedł ze względu na połączenie ogromnej ilości prochów w organizmie, zainfekowania groźną chorobą i ogólnego złego stanu zdrowia (głównie efekt narkomanii).

O tym jednak mało się mówi, zewsząd widzimy zaś etnicznych masochistów całujących czarnym buty, noszących koszulki „so sorry” i klękających przed potęgą czarnej kultury. Czym ta potęga się objawia właściwie nie wiadomo, bo jakimś dziwnym trafem to biali niewolili czarnych, a nie na odwrót. Abstrahuję tu już od moralnej oceny tego faktu, ale to że w ogóle czarni są w Ameryce to też zasługa białych. Gdyby nie ci, w dalszym ciągu żyliby w Afryce subsaharyjskiej na poziomie średnio zaawansowanego plemienia, który to okres Europa zakończyła tysiąc lat temu. To europejskie, białe Narody stworzyły ogromną cywilizację, która stała się na długi okres przodującą na całym świecie. To biały człowiek odkrywał inne kontynenty, to biały człowiek polecał na Księżyc, to biały człowiek odpowiada za większość przełomowych odkryć naukowych. To jest rzeczywistość, której zwolennicy BLM nie są w stanie zmienić, choć oczywiście robią dużo by ją zakłamać lub zwyczajnie przemilczeć.

Mówi się o równości, tymczasem cała ta równość to równanie w dół i nienawiść do wszystkiego co silne, piękne i wzniosłe. W imię równości chce się zniszczyć całą naszą kulturę i zastąpić ją... no właśnie, czym? Całkowitym wypłyceniem całej kultury do tego jednego kryterium – „rasizmu”? Nieważne kim był dany twórca czy autor, jak ogromny miał wkład do kultury i ludzkiego dorobku. Jeśli chociaż raz w życiu uśmiechnął się oglądając rasistowski gag w „Świecie według Bundych” należy go zakazać, ocenzurować, wpisać do indeksu dzieł zakazanych.

Śmiać można się prawie ze wszystkiego. Także ze stereotypów płciowych, narodowych, kulturowych i etnicznych. Generalnie spora część poczucia humoru opiera się na takich czy innych stereotypach – i nie ma w tym nic złego. Przecież zaśmianie się z wątku murzyna w serialu „Alternatywy 4” nie oznacza od razu afirmacji niewolnictwa. Tego nie są w stanie pojąć liberałowie i nowolewicowcy, którym nie dano umiejętności śmiania się. Jedyne co potrafią to zagryźć zęby z irytacji nad „przemocowością” i w imię swojej wolnościowej ideologii obmyślać kolejne formy cenzury i zakazywania samodzielnego myślenia. W końcu na tym polega liberalizm.

Czarek żartujący z murzynów, Azjatów, kobiet, gejów, lewicowych polityków, prawicowych zresztą też, księży, dzieci? Al Bundy strojący sobie żarty z kobiet, feministek, murzynów? Zapomnijcie o tym. To, że oba te seriale dochrapały się miana kultowych, osiągały rekordowe oglądalności, cieszyły się popularnością wśród wszelkiej maści widzów nie ma znaczenia. Znaczenie ma to, że są grupy świętych krów, z których żartować nie wolno. Nie wolno też krytykować, oceniać, najlepiej od razu ukłęknać i ucałować buty. Przecież jesteś winny lub winna niewolnictwu i wszelkich zbrodni, zarówno tych historycznych jak i zupełnie wydumanych. Dziś w każdym dużym mieście Europy zachodniej i północnej znajdzie się lokalny George Floyd na dowolnym winklu dzielnic zamieszkałych przez kolorową najeźdźczą ludność spoza naszego kontynentu. Ćpun, bandyta, złodziej, aktor porno, ale przede wszystkim bohater wszelkiej maści etnicznych masochistów i ojkofofobów. Gdy naszymi bohaterami są żołnierze, dowódcy, politycy, władcy, naukowcy i

odkrywcy, bohaterem liberalnej lewicy jest człowiek, którego śmierć z przedawkowania narkotyków oraz koronawirusa przypadkowo zbiegła się z policyjną interwencją. Wydać się może wręcz zamierzone, że taki człowiek brany jest na sztandary jako ikona antyrasizmu, w czasie gdy pomniki prawdziwych bohaterów są niszczone na całym świecie.

Kościuszko, Churchill, Cezar? Dla nich miejsca w przestrzeni publicznej nie ma. Na 4-krotnie skazanego kryminalistę, uzależnionego od prochów i grającego w kinie pornograficznym klasy D znajdzie się bez problemów. Propagowanie odrażających postaci jego pokroju to naplucie w twarz każdemu człowiekowi, który wierzy w sprawiedliwość i jakąkolwiek praworządność. To stwierdzenie nam, białym ludziom wprost: „najgorszy czarny degenerat jest dla nas lepszy niż dowolny biały, który zmienił losy historii”. Wyświęcenie Georga na świętego antybiałej rewolty to manifest rasowej nienawiści do każdego mającego białą skórę.

Nie kłajcie się, nie przepraszać, nigdy przed nimi nie kłękajcie. Nie mamy powodu do tego, nie wolno nam wręcz paść na kolana przed tymi, którzy nienawidzą nas i pragną naszego unicestwienia. Nie oczekujcie pojednania, litości ani braterstwa. Im nie chodzi o to, a o to by zamienić nas w niewolników. Mamy być zniewoleni przez cenzurę, polityczną poprawność, zakaz samodzielnego myślenia, napiętnowanie każdego kto zechce posłużyć się zwykłą logiką w celu wypunktowania wrogiej nam ideologii. Metody jakie stosuje antifa, murzyńskie gangi, wielkie koncerny, media niewiele się różnią od tych stosowanych przez bolszewików. Jedni zajmują się sianiem rasistowskiego, antybiałego terroru na ulicy, inni usprawiedliwiają to i przesuwają barierę neomarksistowskiej tyranii coraz dalej w przestrzeni publicznej.

Wymazywane są kolejne twory naszej kultury, kolejne osoby, kolejni celebryci prześcigają w publicznym poniżaniu siebie i swego dziedzictwa. Powtórzę to: nie przepraszamy, nie mamy za co! To dzięki nam do czarnych krain Afryki dotarła cywilizacja, to na naszych uczelniach czarni poznali idee samostanowienia, wreszcie to nasze kraje obecnie najeżdżają i zasiedlają. Skoro już nasi wrogowie tak bardzo chcą

przepraszać, może pora uklęknąć i przeprosić za zbrodnie komunistów w Polsce, Europie i na całym świecie? Może wszelkie antyfaszystowskie grupy społecznego gąmoństwa zamiast wspominać kryminalistę i narkomana wspomną „Inkę”, „Nila” albo Pileckiego? To są prawdziwie bohaterskie życiorysy. Oczywiście, wiemy dobrze, że tak się nie zdarzy, a wspomniane postacie przez antyfaszystów nazywane są „reakcyjnymi żołnierzami” albo „leśnymi bandytami”. A to przecież ideowi przodkowie antify, wszelkich skłotersów i ośrodków monitorowania siedzieli w katowniach UB i NKWD i naszych bohaterów torturowali do nieprzytomności, byleby tylko uzyskać przyznanie się do winy. Do winy, której na imię było... „fasyzm”. Przypominam Wam to coś? Nas, białych, też dziś terroryzuje się, by wmówić nam, winy jak właśnie „fasyzm”, „rasizm” czy „ksenofobia”. Nie jesteśmy wprawdzie torturowani, co wynika po prostu z faktu, że obecne metody lewicy i liberałów są dużo skuteczniejsze niż prostackie bicie po twarzy czy wyrywanie paznokci. Tego dopuszczać się mogli ojcowie Michników, Cimoszewiczów, Kwaśniewskich i innych pogrobowców komunizmu w Polsce. Obecnie, w dobie mediów, Internetu i perfekcyjnej socjotechniki, nie trzeba sięgać po takie metody. Wystarczy, że od czasu do czasu ten czy inny przypadkowy chłopak zostanie zakatowany w umyślny sposób na komendzie – tak jak choćby Igor Stachowiak. O nim jakoś lewicowe bojówki i Krytyki Polityczne zapomniały. Doskonale bowiem wiedzą, że neoliberalny system którego bronią potrzebuje od czasu do czasu pokazać, że też potrafi bić w pysk. Tak więc obywatelu miej się na baczność, bo jak nie antifa, to milicja albo bezpieka wytłumaczy Ci, na czym polega „biały przywilej”.

Nie mamy za co się wstydzić, za co przepraszać ani jakiegokolwiek powodu, aby uklęknąć. Z jednym wyjątkiem. Przyjrzyj się dobrze tym, którzy stoją przed Tobą. Lewica, liberałowie, antyfaszyści, skorumpowani politycy i sprzedajne media, lewicowi i prawicowi neoliberalowie. Widzisz ich? Dobrze. Oceń dystans. Wyrównaj oddech. I uklęknij. Tak jak król Leonidas w termopilskim wąwozie. I uśmiechnij się. Nigdy nas nie pokonają.

Stilos!

Grzegorz Ćwik

Grzegorz Ćwik - Powszedni nacjonalizm

Nacjonalizm przegrywa. Dzień po dniu coraz bardziej przestrzeń publiczna zawłaszczona jest przez idee liberalne oraz nowo-lewicowe. Choć cały czas funkcjonuje szereg inicjatyw narodowych, właściwie co chwila powstają też nowe, to patrząc z perspektywy ostatnich 10-15 lat nie tylko nie wykorzystaliśmy szans, jakie się nadarzyły, ale także sami popełniliśmy sporo błędów, i to także tych o znaczeniu strategicznym. Oczywiście mam świadomość, że część przyczyn tego stanu rzeczy leży nie po naszej stronie, a po stronie czynników mniej lub bardziej niezależnych. Nacjonalizm wszakże jest w odwrocie nie tylko w Polsce, ale w gruncie rzeczy wszędzie. Wydaje Wam się, że jest inaczej? Obejrzyjcie dowolne wydanie dowolnego programu informacyjnego lub odpalcie dowolny portal w sieci – Black Lives Matter, tęczyowy protest przed Pałacem Prezydenckim, ciche wprowadzanie ideologii lgbt do przestrzeni publicznej, coraz dalej idąca cenzura i wykluczenie „nieprawomyślnych” (ostatni przykład – usunięcie książki Rafała Ziemkiewicza z popularnego portalu aukcyjnego po interwencji jacejki „Nigdy Więcej”). Być może to wrażenie czysto optyczne, ale nacjonalizmu jest w przestrzeni publicznej coraz mniej. Może już pora złapać chwilę oddechu, usiąść i zastanowić się – co robimy źle?

Mam przy tym pełną świadomość, że tekst poniższy wywoła spore kontrowersje, wielu osobom się nie spodoba a opisane błędy czy złe praktyki były popełniane także przez piszącego niniejsze słowa. Jednak jak rapował 22 lata temu Sokół: „Każdy robi błędy sam wiem ale kto powtarza je. Z tym już źle”. I tego się trzymajmy.

O co w tym wszystkim chodzi?

Jeden z najbardziej podstawowych problemów nacjonalizmu leży w ustaleniu, co jest celem działalności nacjonalistycznej. Czy jest tym wewnętrzne zadowolenie? Poklepanie po plecach przez kilku kolegów z ekipy lub organizacji? A może nabicie lajków przy okazji posta z relacją? Nie, to jasne, że nie to jest celem nacjonalizmu. Celem nacjonalizmu w mojej skromnej opinii jest przekonywanie do elementarnych kwestii zwykłych ludzi, tzw. „normików”. Celem nacjonalizmu jest wywieranie jak największego wpływu na sferę metapolityczną i przeciąganie punktu ciężkości dyskusji publicznej jak najbardziej na naszą stronę. Celem naszym jest obecność wszędzie i oddziaływanie w każdej możliwej formie.

Czy to robimy obecnie? Niestety nie. Nacjonalizm coraz bardziej rozdziela się na ten „konfederacyjny”, czyli oparty na wspieraniu określonej reprezentacji politycznej, lub ten uliczno-radykalny, czyli oparty głównie o subkulturowe trwanie w nieskuteczności i na marginesie. Graffiti z masą skrótów pokroju GNLS i ŚLK? Symbole zrozumiałe jedynie dla nas i antify? Coraz skromniejsze marsze, coraz bardziej kadrowe demonstracje? Niestety, to nasz obraz ad. 2020. O ile działalność wszelkich odłamów nacjonalistycznych od końca XIX wieku do 1939 roku była nakierowana właśnie na powyższe cele, na docieranie do zwykłych ludzi, o tyle obecnie nacjonalizm staje się coraz bardziej hermetycznym i wyizolowanym od społeczeństwa sposobem na spędzanie wolnego czasu.

Śmiejecie się z lewicy, liberałów, antyfaszystów? No cóż, oni wytworzyli przez ostatnie dekady niesamowicie silne struktury, które obecnie działając wielopłaszczyznowo i na różnych poziomach kształtują w ogromnym stopniu rzeczywistość. To nacjonalistów prześladowuje się na uczelniach, to nacjonalistyczne spotkania odwołuje się po donosach

naszych wrogów, to antyfaszyści są ekspertami i komentatorami. My zaś trwamy w coraz bardziej prowincjonalnej twierdzy, której nazwa to „przegryw”.

Nacjonalizm jaki jest realizowany przed odłami radykalny jest nakierowany właściwie wyłącznie na docieranie do innych nacjonalistów. Ktoś powie „przekonywanie przekonanych” – i tym właśnie to jest. Tylko kumaci obserwatorzy fanpejdży zrozumieją co jest na kolejnym wywieszonym gdzieś tam banerze albo na wlepce przyklejonej na przystanku. Otaczamy się i nurzamy bezustannie w radykalizmie, fanatyzmie, uznając to za *clou* swojej działalności. Tymczasem jak powiedziałem naszym zadaniem jest dotrzeć do zwykłych ludzi, do polskich rodzin, pracowników, do ludzi, którzy nie czytają Evoli i Stachniuka, nie wiedzą czym się różni ONR od Autonomicznych Nacjonalistów, ani czemu część środowiska zżyma się na Bąkiewicza. A dyskusje historyczne, zwłaszcza dotyczące nieznanych szerzej postaci i faktów to już zupełna magia, który interesuje tylko nas samych. Z punktu widzenia przeciętnego człowieka to co robimy jest po prostu niekompatybilne z jego światem, potrzebami i estetyką.

Weźmy choćby nasz ukochany fashwave (skądinąd celowo na szturmowych stronach od dość dawna używamy sporadycznie, obecnie właściwie w ogóle). Jak na Polaków przystało zachłysnęliśmy się tą formą przekazu amerykańskiego alt-rightu po całości. Każdy używał lub używa fashwave'ów. Najlepiej, żeby na każdym był kumaty przekaz, równie kumaty symbol i bohater, który zginął młodo i odważnie. I *voilà!* Znów mamy twór, który rozumiemy my i antifa – choć ci ostatni też nie zawsze. Pokażcie to przeciętnemu człowiekowi, a zwyczajnie nie zrozumie o co chodzi. W ogóle pokażcie mu przeciętną grafikę nacjonalistyczną, a owo niezrozumienie będzie najczęstszą reakcją. Nie twierdzę, że nie ma dobrych grafik nacjonalistycznych, które zarówno wizualnie jak i merytorycznie przyciągnąć mogą uwagę zwykłego człowieka. Jednak

szybkie przejrzanie narodowych profili na Instagramie pozbawia złudzeń – to cały czas są nacjonalistyczne grafiki dla nacjonalistów. I nikogo więcej.

Tak można właściwie pojechać z każdym, lub prawie każdym, elementem naszej działalności i aktywizmu. Przyczyn i okoliczności tu jest naprawdę sporo, ale myślę, że najważniejsza jest taka, że jako nacjonaści nie chcemy zrozumieć, że nie ma już lat 30-tych XX wieku a 20-ste XXI wieku. Zmieniły się paradygmaty i wartości, zmieniła się przestrzeń publiczna, kultura, to co uważane jest za dopuszczalne i to co nie. Czy tego chcemy, czy nie, to żyjemy w społeczeństwie doby konsumpcjonizmu, czytania nagłówków w artykułach i zwykłego wygodnictwa. Nie twierdzę, że mamy przyjąć lub uznać jakikolwiek nowotwór sączony w nasze serca, bo oczywiście nie wolno nam tego robić. Nie sugeruję, że mamy stać się konformistami i wyrzec się idealizmu. Tego nawet nie umiem sobie wyobrazić. Twierdzę jednak, że najwyższa chyba już pora zrozumieć i przyjąć realia takimi, jakie są. Czy to bowiem zrobimy czy nie, to one będą trwać dalej, jednak każdy kolejny dzień bujania w obłokach i bicia się z faktami oddala nas od jakichkolwiek realnych skutków naszych działań.

Realia

Nie żyjemy w latach 30-tych zeszłego wieku – to już wiemy. Ale co to właściwie oznacza? Jakie prawdy i stwierdzenia za tym idą, których tak często się boimy? Jak sądzę najważniejszą różnicą jest zupełnie inna „mapa ideologiczna” oraz obowiązujące wartości i aksjomaty. Radykalny nacjonalizm przed wojną był jednym z kilku głównych nurtów ideowych w Europie i generalnie rzecz biorąc uważano go tak samo dopuszczany

jak socjaldemokrację, chadecję, poglądy ludowo-chłopskie, konserwatywne etc. W całej Europie partie narodowe miały silne poparcie, często zresztą dochodząc do władzy, nie tylko drogą takich czy innych zamachów stanu, ale także po prostu wygrywając wybory. Nawet jeśli tak się nie działo, to w szeregu państw europejskich lata 30-ste zeszłego wieku to ogromny wzrost popularności fali nowego nacjonalizmu: radykalnego, rewolucyjnego, totalnego. Systemy polityczne niejednokrotnie potrafiły jednocześnie oficjalnie podchodzić krytycznie i niechętnie do tego zjawiska, a w praktyce przejmować stopniowo retorykę i postulaty takich nacjonalizmów – najlepszym przykładem jest późna sanacja.

Dziś czasy te możemy wspominać co najwyżej z rozrzewnieniem. Jednak po koszmarze 2 wojny światowej i wynikającej z niej ofensywy liberalizmu, lewicy i toksycznych produktów szkoły frankfurckiej sytuacja jest już diametralnie inna. Dziś tolerowana i normalna przed wojną obecność narodowo-radykalnej ideologii, symboliki, retoryki czy estetyki jest czymś nieosiągalnym. Po prostu granica została na tyle mocno przesunięta w stronę idei naszych wrogów, że próba używania takich form i metod automatycznie skazuje na polityczny i publiczny margines. Dziś ludzie nie oczekują tego i odrzuca ich wszelkie epatowanie czymś, co niejasno kojarzy im się z „fasyzmem” czy „nazizmem”. Nie chodzi tu o to, czy mają rację, czy nie. Chodzi o to, że to po prostu nieskuteczne. Nie przekonamy nikogo do naszych idei i poglądów, jeśli w dalszym ciągu będziemy krzyżem celtyckim czy czarnym słońcem bić obywateli po głowie i wciskać im treści, które są zwyczajnie nie zrozumiałe. Ci ludzie nie wiedzą kim byli nasi bohaterowie, za co zginęli i dlaczego. Odrzuca ich subkulturyzacja i zachowania oraz formy działania, które po prostu nie łączą się dla przeciętnego człowieka z próbą znalezienia rozwiązań dla określonych problemów i wzywań, przed którym stoi nasze państwo. Polski nacjonalizm od lat 90-tych robi naprawdę dużo, żeby i formą i treścią odstawać od możliwości wpływania na ludzi i politykę.

W podobnych okolicznościach działała lewica kulturowa po ostatniej wojnie światowej w Europie, czy u nas w Polsce po roku 1989. Pomimo okresowego poparcia w niektórych krajach dla komunizmu (Włochy, Francja) to jednak po 1945 roku Europą rządzą zazwyczaj chadecy lub propaństwowi konserwatyści, z czasem dołączyła do nich dość zachowawcza socjaldemokracja (Szwecja, Niemcy). W tych warunkach i po koszmarze 2 wojny światowej zrozumiałe jest, że idee komunistyczne szybko straciły na popularności, a ta retoryka, symbolika i forma działania stała się pewnym marginesem. Lewica jednak umie wyciągać wnioski, a do tego przeczytała i zrozumiała Gramsciego. Zrozumiano, że można odpuścić sobie pewne zewnętrzne formy i szyldy, bo liczy się sfera kulturowa i metapolityczna. Kto dzierży te sfery, bez względu na to jak się sam nazywa, ten wpływa bezpośrednio na każdą inną sferę życia. Już rok 1968 wykazał, że ludzie ci mieli rację w swej strategii. Co więcej, okazało się, że zainfekowani nowolewicowymi ideami młodzi ludzie niejako automatycznie sami „odkrywają” komunizm, leninizm czy trockizm. Właśnie tak przebiegła wówczas ta „edukacja” mas, nie od radykalizmu, symboliki i estetyki – to było na końcu. Najpierw podważono obowiązujące normy i wartości, zaczęto krytykować kolejne aspekty powojennego ładu, przy czym robiono to w sposób teoretycznie pozbawiony ideologicznych inklinacji. W praktyce jednak po 1989 roku wszystko jest ideologią, tu nie mogło być inaczej. Sam rok 1968 jeszcze nie był zwycięstwem nowej lewicy, ostatecznie generał De Gaulle był w stanie zmobilizować swoich zwolenników, a tych była przeważająca większość i protesty studenckie skończyły się. Erozja jednak kultury europejskiej była już wówczas znaczna, a wrogom naszym udało się wyważyć zbyt dużo drzwi, by łatwo można było zwalczyć wchłanianie idei nowolewicowych i liberalnych przez tkankę europejskich społeczeństw.

Identycznie przebiegło to w Polsce po roku 1989. Rządzi głównie centroprawica, nawet rządy SLD pod względem moralnym były dość konserwatywne. Nasi wrogowie po długim czasie walk ulicznych i zabaw w bojówki i skłoty rozumieli, że droga do zwycięstwa to właśnie praca

metapolityczna i kulturowa. Przecież przeciętny obywatel ma takie same skojarzenia i estetyczne odczucia widząc zarówno kumatego nacjonalistę, jak i kumatego skłotersa-anarchistę. Dlatego ludzie ci poszli drogą legalnych form działania – fundacji, stowarzyszeń, klubów, spółdzielni, firm. Okazało się, że po kilkunastu latach to ci ludzie są ekspertami i autorytetami w szeregu dziedzin, to oni coraz częściej wchodzą w ciała i instytucje samorządowe, to oni doradzają służbom specjalnym i policji. Gdzie zaś jesteśmy my? My cały czas jesteśmy na ulicy. Większość nacjonalistów uważa, że bazgranie po murach, ganiecie się z resztką antify lub przypadkowo spotkanymi działaczami partii „Razem” oraz udział w coraz bardziej kadrowych demonstracjach to szczyt działalności. Do tego obowiązkowe plakaty, najlepiej z 3 akapitami tekstu i 2 linijkami radykalnych symboli. Na pewno ktoś poza klejącym to przeczyta i rozpozna te symbole. Nie zapominajmy o wlepkach. Obowiązkowo „100% antifa” – bo przecież antifa to najbardziej palący problem tego kraju, ewentualnie brzydki fashwave, którym podniecają się tylko nacjonałiści. Oczywiście na deser parę skrótów, które dopiero wpisane w google stają się zrozumiałe dla przeciętnego człowieka. Gdzie zaś są nasi eksperci? Ilu nacjonalistów potrafi coś powiedzieć więcej o ekonomii, kryzysie klimatycznym, rozwoju nowych technologii, kwestiach energetycznych? Oddaliśmy praktycznie wszystkie te pola nawet nie naszym wrogom, co po prostu wszystkim innym. Nie tylko lewica i liberałowie nas wyprzedzają, ale także konserwatywni liberałowie, konserwatyści, republikanie, etc. Ile mamy faktycznych i prężnie działających klubów dyskusyjnych, think tanków, wydawnictw wydających wartościową literaturę? Iloma tłumaczeniami zagranicznych pozycji możemy się pochwalić? Ile w ostatniej dekadzie udało nam się wygrać dyskusji publicznych? Właściwie tylko jedną – w kwestii migracyjnej, która trwała w okolicach roku 2013-2015, przed dojściem PiSu do władzy.

Często krytykujemy naszych adwersarzy za bycie „komunistami”, „lewakami” czy „bolszewikami”. Problem w tym, że tylko dla nas ci ludzie jawią się w ten sposób. Gdy do telewizji zapraszani są

jako eksperci działacze Ośrodka Monitorowania, to przeciętny widz nie widzi żadnego komunisty czy oszusta, ale zwykłego działacza społecznego. Czemu my nie mamy swojego Ośrodka Monitorowania Zachowań... no właśnie, jakich? Marksistowskich? Jest taki projekt na facebooku, nikt o nim nie słyszał. Nie rozumiemy, że uznane przez nas wartości i poglądy są uznane tylko przez nas. Moglibyśmy atakować naszych wrogów tak samo jak oni nas atakują – tylko ich należałoby za ekstremizm, oszustwa, hipokryzję. Zamiast tego wolimy dopatrywać się w nich agentów NKWD. Ludzie ci doskonale zrozumieli, że tylko dostosowując się do pewnych norm i zewnętrznych wymogów, przy zachowaniu twardego jądra swych poglądów, będą w stanie wydrenować ten system na swoją modłę. My zaś cały czas tkwimy w dzieciennym radykalizmie, nie rozumiejąc, że to droga donikąd. Polska jest coraz bardziej tolerancyjna, liberalna, indywidualistyczna, pronunijna. Widzimy u nas te same objawy, które w dużo większej skali wywołują jeszcze śmiech lub niedowierzanie u prawicowców w Polsce. Coraz jednak cichsze są żarty o zamachach i multi-kulti na Zachodzie, właściwie nie słyszymy już nic o tym jak to „Bastion Polska” oprze się zgniliznie i upadkowi. Po prostu do nas to wszystko dotarło kilka dekad później, jednak z pilnością charakteryzującą każdego neofitę szybko odrabiamy „zaległości”. Gdzie zaś jest nacjonalizm, który jeszcze kilka lat temu na protestach antyimigracyjnych czy Marszach Żołnierzy Wyklętych gromadził po kilkanaście tysięcy ludzi? Nacjonalizm ten okazał się jednak niestrawny, nieskuteczny i nieatrakcyjny. Oczywiście wiele osób uznało, że skoro PiS wygrał, a to taki „soft nacjonalizm” to już nie trzeba nic robić. Nie umniejsza to jednak w żadnym wypadku naszych błędów i porażek.

No dobra, ktoś w tym miejscu powie „Ok, ale nacjonalizm nie ma się podobać, nie ma być atrakcyjny, tylko musi być prawdziwy, niezakłamany, radykalny bla bla bla”. Na co ja odpowiadam: tak, taki ma być nacjonalizm, jeśli ma pozostać skansenem dla coraz bardziej wąskiej i archaicznej grupy działaczy. Nacjonalizm nie tylko może, ale wręcz musi

być atrakcyjny i akceptowalny w swej formie. Nawet jeśli – to już dla niektórych zabrzmiał jak herezja – ten nacjonalizm miałby przestać się nazywać oficjalnie nacjonalizmem. Nawet jeśli miałby wyzbyć się szeregu symboli, zachowań, twierdzeń i słów. To właśnie zrobiła lewica. Wyciąga się dziś przykładowo Zandbergowi, że ongiś biegał na manifestacje w koszulce z Marksem. Ale ludzie, wiecie kiedy to było? Ponad 15 lat temu. Przez ten czas Zandberg i cała jego grupa polityczna zrozumieli, że jeśli założyć koszulę i marynarkę, uśmiechnąć się, przystroić w łatki „socjaldemokracji” to nagle jest się w stanie w konkretny sposób oddziaływać na rzeczywistość publiczną. Czy ktoś mu zarzuca, że już nie ma tego Marksa na koszulce, a na manifestacjach partii „Razem” nie ma już czerwonych flag z komunistyczną symboliką? Chyba nikt. Czy zmieniły się zaś poglądy tych ludzi? Nie, po prostu stały się akceptowalne, zrywając z nieskutecznością i subkulturowością. Sam pamiętam czasy, kiedy na mojej uczelni Zandberg pisał doktorat a na nieistniejącym już portalu grono.net wrzucał plakaty niemieckiej partii komunistycznej z lat 20-tych i 30-tych. Tylko, że to pieśń przeszłości, ci ludzie dorośli i zrozumieli reguły gry. Pora żebyśmy i my je zrozumieli.

Wbrew niektórym twierdzeniom nie jesteśmy w tej samej sytuacji co obecna lewica i liberałowie. Nasza sytuacja jest znacznie trudniejsza. Przede wszystkim granice dopuszczalności są dużo bardziej restrykcyjne dla wszelkich idei prawicowych i tradycjonalistycznych niż dla lewicowych. Ponadto w przeciwieństwie do naszych wrogów nie dysponujemy tym wszystkim, czym dysponują oni – mediami, opiniotwórczymi ośrodkami, think tankami, grupami eksperckimi, etc. Dlatego też twierdzenie, że wolno nam to, co im w obecnej chwili jest dla mnie z gruntu nieprawdziwe. Wymogiem dla nas jest naj najszybsze rozpoczęcie tworzenia takich samych projektów jak oni – po prostu to jest skuteczne. Ideologia pozostaje ideologią, nawet jeśli podana jest w przystępnej, atrakcyjnej estetycznie formie. To powinno być dla nas najważniejsze, a nie kurczowe trzymanie się symboli, marek t-shirtów rozpoznawalnych tylko dla nas czy śledzeniem co kto napisał na stronie

na facebooku mającej 1 czy 2 tysiące polubień. Przestańmy wreszcie robić wszystko, by odstraszyć i odstręczyć od nas ostatnią resztkę sensownych działaczy. Przestańmy na dzień dobry odstraszać młodych działaczy i dziwić się wielkością rotacji w naszym środowisku. Znajdźmy wreszcie sposób na zagospodarowanie nacjonalistów powyżej 25 roku życia, którzy z braku innych zajęć niż graffiti i plakaty często zwyczajnie przestają się udzielać. I ciężko im się dziwić, ludzie mający już wykształcenie, doświadczenie życiowe, zawodowe itp. zazwyczaj jednak chcą czegoś bardziej rozbudowanego i głębszego niż typowa uliczna działalność. Skupiamy się na subkulturowych i typowo partyzanckich akcjach, a to *ex definitione* musi prowadzić do stanu, w którym nasze szeregi ilościowo i jakościowo są po prostu słabe.

Nie tylko zresztą jesteśmy na przeciwległym biegunie od skuteczności i celowości działania. Pozwalamy jeszcze na funkcjonowanie w środowisku lub na jego obrzeżach osób nazywanych „przypałowcami”. A prawda jest taka, że głupia awantura w tramwaju, prowokacyjne graffiti czy atak w stanie nietrzeźwości na lewicowych społeczników w centrum miasta zainteresują media i portale tysiąc razy bardziej niż nasze teksty, artykuły, konferencje i akcje charytatywne. Poniekąd sami sobie jesteśmy winni – zarówno ze względu na wspomniane preferowanie określonych form działania, co nęci też określony rodzaj ludzi, jak i po prostu zwykłe tolerowanie takich rzeczy. Tymczasem wpływ na postrzeganie nie tylko nacjonalistów, ale i samego nacjonalizmu jest tu ogromny i ciężki do przecenienia. Nieskuteczność i subkulturowość najwyraźniej w sposób automatyczny łączy się z takimi „wyskokami”.

Powszedni nacjonalizm

Na pojawiające się często pytanie „jaki powinien być nacjonalizm” odpowiedzieć trzeba przede wszystkim: powszedni. Taki, żeby stanowił nie tylko stawną i przyswajalną treść i formę dla zwykłych obywateli, ale także by przedstawiał dla takich ludzi odpowiedź na ich problemy oraz wyzwania naszego państwa i całego kontynentu. Tak długo jak skupiamy się na walce z antifa, wewnątrzśrodowiskowych dyskusjach i kurczowym trzymaniu się subkulturowych treści, tak długo będziemy traktowani po prostu jak idioci. Już nawet nie jak faszyci, naziści, etc. ale po prostu idioci. Nawet człowiek jak Korwin wykształcił rozpoznawalną ideologię, która nęci coraz chyba więcej osób, a nawet jeśli ktoś jej nie popiera, to i tak potrafi bez problemu wymienić postulaty Korwina. A jakie są postulaty nacjonalizmu? I jak one mają zostać wypracowane? Jak mamy je przedstawić, propagować i implementować? Klejąc wlepki, wieszając banery i rozkładając ulotki? To najniższy poziom działalności, jakkolwiek mający swoją wartość, to jednak przy ograniczeniu się tylko do takich akcji skazani jesteśmy na wieczną porażkę. Podobnie z akcjami ulicznymi, malowaniem itp. – jeśli byłaby to część wielopoziomowej i wielopłaszczyznowej działalności to wszystko w porządku. Jednak robiąc tylko to w gruncie rzeczy mijamy się z jakkolwiek sensownością.

Mam doskonale świadomość, że tekst niniejszy wywoła u wielu osób emocje i to raczej te negatywne oraz krytyczne. Pora jednak odpowiedzieć przed samym sobą czy to, co robimy to faktycznie nacjonalizm, rozumiany jako służba i ofiara dla Narodu, czy zupełnie zmarginalizowana i subkulturowa forma spędzania wolnego czasu i poczucia się wyjątkowym.

Nacjonalizm z definicji oznacza walkę – a tą prowadzić trzeba zarówno skutecznie, jak i w sposób elementarnie realistyczny. I niech ta myśl przyświeca nam i wszystkim nacjonalistom w koniecznym i nieuniknionym dziele przebudowy polskiego nacjonalizmu.

Grzegorz Ćwik

„Rozpoznam, zaatakuję, potem się rozproszę,

nawet jeśli zniknę zwycięzę potem.

Mam cierpliwość drzewa,

walczę jak trzcina, oliwa sprawiedliwa,

dziób pingwina.”

Grzegorz Ćwik - Z daleka od endecji

[Poniższy tekst stanowi moją odpowiedź na prośbę o napisanie artykułu do powstającego właśnie zbioru o tym samym tytule – „Z daleka od endecji”. W tym wypadku postanowiłem temat potraktować dość dosłownie i wyłożyć kwestie, które od dłuższego już czasu za mną chodziły. Mam pełną świadomość, że poniższy artykuł wywoła kontrowersje i polemiki – co samo w sobie jest zdrowe i pożyteczne. Tekstu tego nie należy w żaden sposób traktować jako oficjalnego stanowiska „Szturmu”, ale wyłącznie jako wyraz moich prywatnych poglądów i opinii. Być może niektóre rzeczy opisałem zbyt jednostronnie, być może pewne osądy są zbyt krytyczne. Sądzę jednak, że warto aby w końcu doszło do oceny przydatności konkretnych elementów tradycji endeckiej z perspektywy roku 2020.

Grzegorz Ćwik]

Z daleka od endecji. Dziwny może wydawać się tytuł niniejszego zbioru. Wprawdzie dzieje endecji to już historia, i to cokolwiek odległa, to jednak właśnie ten nurt kojarzony jest nie tylko z narodzinami, ale i głównymi poglądami oraz wyobrażeniami polskiego nacjonalizmu. Jakże więc można być nacjonalistą i jednocześnie znajdować jak najdalej od endecji? Okazuje się, że nie tylko jest to możliwe, ale i wskazane. Jeszcze przed wojną wykształciły się inne kierunki polskiego nacjonalizmu, które stały często w opozycji do myśli narodowo demokratycznej. Czy będzie to myśl narodowo-radykalna, czy zadrużna, czy środowisko „Jutro pracy” czy różne formy współpracy środowisk nacjonalistycznych z sanacją (Związek Młodych Narodowców, Ruch Narodowo Państwowy), czy środowisko „Zaczynu” (późnosanacyjna próba syntezy myśli państwowej i nacjonalistycznej, tzw. „skrajne centrum) – wszystko to były komplementarne i pełne formy idei narodowej, których przecież nie sposób uznać za endeckie. Także dziś widzimy, że istnieją różne

nacjonalizmy, co sam zresztą opisywałem ongiś w „Szturmie” w dość głośnym tekście „Dwa nacjonalizmy”. Nie chodzi oczywiście, żeby na siłę się dzielić, tworzyć uporczywie nowe grupki i środowiska. Podstawową konstatacją jest tutaj stwierdzenie, że można nie być endekiem i jednocześnie być nacjonalistą.

Użyłem powyżej także stwierdzenia, że bycie jak najdalej od endecji może być „wskazane”. To już brzmi dla niektórych jak herezja. Jak to, zerwać z dziedzictwem Dmowskiego, Balickiego i Popławskiego? W tym miejscu postawiłbym pewne rozgraniczenie, które choć płynne, to jednak pomoże nam zrozumieć co z dziedzictwa endecji powinno być nam jak najdalsze. Otóż oddzielamy samą płaszczyznę ideologiczną od politycznej, rozumianej jako konkretne decyzje, posunięcia i codzienna pragmatyka partyjna. Oczywiście, jak zobaczymy w dalszej części także niektóre elementy doktryny endeckiej są dziś dla nas po prostu nieprzydatne, czy wręcz szkodliwe. Pamiętać jednak trzeba, że krytyka chociażby konstytucji marcowej jako tworu głównie endeckiego nie oznacza *ad hoc* krytyki całej spuścizny myśli i działalności narodowo-demokratycznej.

Celem niniejszego tekstu jest wyseparowanie tych elementów z dziejów endecji, które po prostu negatywnie ciążą na naszym rozumieniu idei narodowej i celów tejże. Niestety większość osób uważających się obecnie za narodowców czy nacjonalistów podchodzi do endecji w sposób całkowicie bezkrytyczny, uważając wręcz Dmowskiego i jego współpracowników za istoty nieomyłne, właściwie półboskie. Prawda jest jednak dużo bardziej złożona, i jak najbardziej Dmowski, Doboszyński i inni przedstawiciele tego nurtu popełniali błędy i wykazywali się niezrozumieniem polityki czy nawet swoich czasów. Sama już analiza tego i ustalenie stanu faktycznego jest dla nas formą politycznego ćwiczenia umysłowego, które może tylko wpłynąć na lepsze rozumieniu potrzeb kraju i wyzwań, jakie przed nami stoją.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że niniejszy tekst będzie i kontrowersyjny i zapewne spowoduje powstanie replik i odpowiedzi. I bardzo dobrze! Przecież to w toku dyskusji i polemik rodzi się spora część nowoczesnej doktryny nacjonalistycznej. Dlatego też otwarty jestem na wszelkie formy rzetelnej i merytorycznej krytyki.

Endecja i polityka

Mówiąc o Dmowskim i endecji zazwyczaj skupiamy się na sferze ideologicznej i publicystycznej. Kim był Dmowski? Większość osób zapytanych o to wymieni przede wszystkim stworzenie idei narodowo demokratycznej oraz napisanie kilku przełomowych książek dla rozwoju polskiej myśli politycznej („Myśli nowoczesnego Polaka” oraz „Niemcy, Rosja i kwestia polska”). Oczywiście, to prawda, ale pomijająca jedną z najważniejszych sfer funkcjonowania endecji: politykę. Zapominamy, że endecja to zarówno uczestnik życia politycznego w II RP, jak i zaboru rosyjskiego, a wpływy endeckie silne były oczywiście także w zaborze pruskim (Wielkopolska) czy we wschodniej Galicji (zabór austro-węgierski). Oznacza to, że istniały endeckie koła poselskie, partie (ZNL, SN), endecja miała swoich ministrów, premierów, dyplomatów, przedstawicieli w różnych ciałach międzynarodowych, choćby na konferencji pokojowej w Wersalu. Kilkukrotnie endecja też współtworzyła rządy koalicyjne w okresie II RP (przed zamachem majowym). Politycznych stron funkcjonowania endecji można by wymienić dużo więcej. Mimo to zawsze pozostają w cieniu postaci Dmowskiego-ideologa i Dmowskiego-pisarza. Z pewnością wynika to z faktu, że faktycznie jako ideolog Dmowski miał niezaprzeczone zasługi, ale również z faktu, że endecja po prostu... politycznie była marna i kiepska. Wbrew kreowanej legendzie polityczne losy endecji to w gruncie

rzeczy liczne niepowodzenia, pomyłki, kompletnie nietrafione przewidywania i mylne analizy. Do tego endecja zrobiła naprawdę dużo, aby na stałe uniemożliwić sobie zdobycia większościowego poparcia. Ale zaczynajmy od początku.

Rewolucja roku 1905 to wydarzenie pomijane – i bardzo niesłusznie, choćby dlatego, że zapominając o nim nie zrozumiemy nigdy w pełni rewolucji 1917 roku. Jest to także okres sporych zmian w Królestwie Polskim – podobnie jak i w całym Cesarstwie Rosyjskim. Zmiany systemu politycznego doprowadziły między innymi do wejścia do Dumy polskich posłów – w tym endeckich, którzy zresztą jeszcze przed brali czynny udział w wydarzeniach politycznych, w tym tych rewolucyjnych. Rewolucja 1905 roku spowodowała spore zmiany w systemie ówczesnej Rosji, dla Polaków oznaczało zaś to w praktyce zwiększenie autonomii narodowej – na polu administracyjnym, edukacyjnym czy politycznym. Jakie było stanowisko endecji wobec rewolucji, w której przecież brali czynny udział przedstawiciele innych polskich nurtów politycznych? Otóż endecja, która wówczas już całkowicie przeszła na pozycje ugodowe i kolaboracyjne (nazwijmy to w końcu po imieniu) robiła wszystko co tylko mogła, by rewolucję wystudzić i zniszczyć. W praktyce sprowadzało się to nie tylko do agitacji, publicystyki i jednoznacznie prorosyjskich gestów. Oznaczało to także celowe wpływanie na to, by Polacy nie wysuwali zbyt daleko idących roszczeń i żądań (sic!), a także zbrojną walkę z socjalistycznymi i lewicowymi grupami, które walczyły przeciwko caratowi. Mówiąc wprost – endecja z bronią w ręku walczyła z polskimi robotnikami, którzy domagali się określonych zmian, także o charakterze ekonomicznym. Dmowski wręcz z dumą pisał o tym, że endecja mordowała Polaków, którzy nie tylko w szeregach skądinąd cały czas dość kadrowej PPS walczyli z caratem, ale i przede wszystkim zwykłych pracowników sektora przemysłowego. W „Polityce polskiej” Dmowski posunął się do ohydnych stwierdzenia, że mając wówczas do wyboru śmierć z ręki bojownika PPS-u lub żołnierza carskiego wybrałby to pierwsze, bo wtedy zginąłby z ręki

wroga, a śmierć z ręki rosyjskiego *soldata* byłaby zwykłym przypadkiem. Cała polityka endecji zasadzała się na tym, że obawiano się, nie tylko w trakcie rewolucji 1905 roku, ale przez cały okres do 1917 roku, że zbyt daleko posunięte postulaty spowodują kontrakcję władz rosyjskich. Odrzucano całkowicie walkę zbrojną a wysuwanie żądań niepodległościowych uważano wręcz za zdradę. Niestety, w praktyce zbyt daleko posunięte żądania i postulaty dla polityków endeckich znaczyło tyle co...jakiegokolwiek dążenia i postulaty o charakterze propolskim. Politykę ugodowości wypada nam ocenić negatywnie, bo zwyczajnie w momentach kiedy można było osiągnąć jeszcze więcej niż osiągnięto, dzięki energicznym działaniom endecji (właśnie rok 1905) zmniejszono zakres politycznych zmian na naszą niekorzyść. Nie bez znaczenia jest tutaj pomijany ze wstydem przez apologetów endecji fakt, o którym szerzej powiemy dalej. Otóż endecja była zarówno przed rokiem 1914, jak i przez cały okres swego istnienia, przede wszystkim partią reprezentującą klasę posiadającą, czyli ziemian, przedsiębiorców, fabrykantów etc. Ludzie ci sprzeciwiali się dążeniom klas robotniczej czy chłopskiej, gdyż oznaczało to po prostu uszczuplenie ich zysków. Stąd też endecja, która trwale stała się partią (wbrew późniejszej nazwie ZLN) antyludową (w rozumieniu wrogości wobec ekonomicznych aspiracji robotników czy chłopów) broniła interesu przede wszystkim tych, którzy byli jej wyborcami, oraz – co także istotne – wspierali ją finansowo.

Zamiast walki o poprawę sytuacji ludności polskiej endecja skupiła się, skądinąd skutecznie, na rozpaleniu niechęci polsko-żydowskiej. Oczywiście wrogość rdzennej ludności polskiej oraz napływowej i niezwykle dyspozycyjnej wobec Moskwy ludności żydowskiej była uzasadniona i zrozumiała, to wypada jednak oddać sporo racji Adamowi Skwarczyńskiemu, który zauważył w 1930 roku, że endecja słuszną walkę Polaków przekuła w podbudowane niskimi instynktami szczucie Polaków na Żydów. Jakkolwiek daleki jestem od doszukiwania się wszędzie osławionego polskiego antysemityzmu, to wrogiem naszym w roku 1905 nie byli przede wszystkim Żydzi, ale państwo rosyjskie.

Polityka ugodości i kolaboracji endecji z rządem i caratem rosyjskim wykluczała jakąkolwiek dążność do niepodległości. Odrzucano nawet formułowanie *in expressis verbis* żądań niepodległościowych. Oczekiвано zamiast tego nadchodzącej wojny powszechnej, zwycięstwa Rosji oraz zjednoczenia (sic!) ziem polskich pod berłem rosyjskim. W ten sposób ilość ludności polskiego pochodzenia miała automatycznie wymóc na Moskwie utworzenie niepodległego państwa polskiego, uważano bowiem, że Rosja nie będzie zdolna do okupacji tak ogromnych terenów. Oczywiście, każdy ma prawo do swojej oceny tego planu, jednak sam fakt, że endecja po doświadczeniach blamażu Rosji w wojnie z Japonią (1904-1905) oczekiwała jej zwycięstwa w wojnie z Niemcami i Austro-Węgrami świadczy jak najgorzej o horyzontach myślowych polityków endeckich. Pomysł zaś na dobrowolne wyrzeczenie się jakichkolwiek polskich ziem zajętych ewentualnie w ramach zwycięskiego konfliktu wykazuje, że Dmowski i jego współpracownicy kompletnie nie rozumieli istoty rosyjskiej polityki i mocarstwowości – mimo, iż tkwili w samym jej centrum. Wspomnijmy o tym, że niejeden Naród znajdował się pod zaborem rosyjskim (Ukraińcy choćby) i jakoś nie spowodowało to żadnej konieczności utworzenie niepodległego państwa ukraińskiego.

Dzieje endecji to zresztą mniej lub bardziej regularne wolty młodych – ZET-u, NZR i NZCh przed wojną, ONRu w roku 1934. Zarzuty co ciekawe były właściwie te same! W skrócie sprowadzały się do braku skuteczności, stanowczości, nadmiaru zachowawczości, braku realizmu politycznego i nieumiejętności odpowiedniego dostosowania się do określonych warunków politycznych. Zarówno w 1911 jak i 1934 młodzi powiedzieli Dmowskiemu to samo: jesteś marnym politykiem i nie potrafisz kierować swoją partią w należyty sposób. Przed pierwszą wojną światową doszło przecież do wówczas bardzo głośnych wypadków publicznego policzkowania i poniżania Dmowskiego przez działaczy ZET-

u, dla których działalność Dmowskiego i jego kolaboracja z Rosją były zwyczajnie zdradą.

O endecji i pierwszej wojnie światowej należałoby napisać nie oddzielny artykuł, ale książkę. Temat to bowiem rozległy, wielowątkowy i trudny do ostatecznego wyczerpania. Starczy nam wspomnieć, że w okresie Wielkiej Wojny endecja torpedowała (niestety skutecznie) powstanie Legionu Wschodniego w roku 1914, bez słowa sprzeciwu trwała i popierała rząd rosyjski, mimo, że ten w żaden sposób nie zadeklarował jakichkolwiek decyzji na korzyść Polaków. W listopadzie 1916 roku, gdy polityka aktywistów przyniosła pierwszy tak znaczący sukces sprawy polskiej – Akt 5 listopada, endecja podjęła międzynarodową akcję przeciwko niemu. Musimy zrozumieć czym było to działanie: otóż po ponad 2 latach wojny dwa z trzech państw zaborczych wspólnie oświadczają, że po wojnie powstanie Polska. Oczywiście – okrojona, nie do końca niepodległa, związana sojuszem z Wiedniem i Berlinem – ale jednak Polska! Jakaż ogromna zmiana w stosunku do roku 1914! Tymczasem endecja zatracą się w swoim serwilizmie wobec Moskwy i nie mogąc znieść tego, że to Piłsudski i jego obóz mieli rację – robi wszystko, aby to zdyskredytować.

Wojna 1920 roku przyniosła dwa wydarzenia, o których znowuż pogrobownicy Dmowskiego wspominają niechętnie – konferencję w Spa oraz traktat ryski. Pierwsze to przecież w pełni dzieło (a właściwie wina) endeckiego premiera Władysława Grabskiego, który nie rozumiejąc zupełnie sytuacji politycznej i militarnej zrobił to, co mu podpowiadało endeckie poczucie realizmu podszytego ugodowością i niechęcią do stawiania żądań, a jednocześnie gotowością do zgodzenia się w każdej chwili na najbardziej upokarzające warunki. Efekt? Kilka dni później Lenin zaproponował nam lepsze warunki pokojowe (oczywiście obliczone na efekt propagandowy, a nie na realne zakończenie wojny) niż alianccy przyjaciele endecji. Dość szybko sam Grabski musiał uznać swój

katastrofalny błąd i złożył dymisję z urzędu premiera. Zastąpił go na szczęście energiczny i wychowany w innej tradycji politycznej Wincenty Witos. Traktat ryski to zaś, jak stwierdził wprost Lenin, „zwycięski pokój po przegranej wojnie”. Wyrzeczenie się wielu ziem zamieszkałych przez Polaków, przede wszystkim Mińska, oraz celowa dywersja wobec koncepcji federacyjnej Piłsudskiego, w efekcie skutkowały niekorzystnymi regulacjami i stanowiły zarzewie właściwie nierozwiązywalnej sytuacji etniczno-społecznej na Kresach. Wszystko zaś zasadało się na endeckiej koncepcji, iż Polska ma być zamieszkała w 70% przez Polaków, a 30% mniejszości (zwłaszcza słowiańskich) uda się spolonizować. Aż ciężko uwierzyć, że politycy opcji, która tyle zrobiła w walce o uświadomienie polskiego narodu oraz w ramach walki z germanizacją, tak łatwo uwierzyli, że Polska zrobi z mniejszościami to, czego nie były w stanie Niemcy i Rosja z Polakami przez wiele dekad.

Przy okazji roku 1920 warto pamiętać, iż w obliczu ofensywy lipcowej Tuchaczewskiego, która spowodowała podejście Sowietów aż pod Warszawę zachowanie endecji znamionowało przede wszystkim atakowanie osoby Naczelnego Wodza oraz szeroko rozumiane warcholstwo polityczne, posunięte aż do publicznego nazywania Piłsudskiego „zdrajcą” oraz próby konstruowania skrytych planów politycznych mających na celu usunięcie Piłsudskiego ze stanowiska. Musimy dobrze znowuż zrozumieć sytuację: trwa coraz bardziej zaciekle wojna, od 4 lipca Wojsko Polskie jest w odwrocie i coraz bardziej front przybliżyła się do linii Wisły, sytuacja jest coraz bardziej napięta, a endecja... rozpętuje kolejną bitwę publiczną z osobą Piłsudskiego i jego obozem. Na szczęście polityczna nieudolność endecji spowodowała, że wszystkie te działania ograniczyły się do niesmacznych artykułów i pokrzykiwań agitatorów na wiecach społecznych. W ogóle z tymi działaniami konspiracyjnymi endecja sobie nie radziła – w 1920 nie odsunęła Piłsudskiego od władzy, zamach stanu Januszajtisa z 1919 roku inspirowany i popierany przez endecję został przez Piłsudskiego

zlikwidowany w bodajże 3 godziny, a maj 1926 wykazał jednoznacznie kto jest postacią polityczną, a kto para-polityczną.

Warto też cofnąć się do przełomu roku 1918 i 1919 i wspomnieć sprawę armii gen. Hallera, tzw. „Błękitnej armii”. Armia ta, sformowana we Francji, dobrze wyszkolona, a przede wszystkim świetnie wyposażona, znajdowała się pod polityczną kuratelą politycznych ciał endecji. W okresie tym, po listopadzie 1918 roku, jak doskonale wiemy, Polska bierze udział w walkach na prawie wszystkich frontach. Zaczyna się wojna z Ukrainą, od stycznia 1919 roku trwają pierwsze walki z bolszewikami, rozpętuje się konflikt z Czechosłowacją, także Liwa ma wrogi stosunek do Polski. Wobec obiektywnej słabości Wojska Polskiego – tak liczebnej jak i materiałowej, oraz w obliczu bardzo mocnego zniszczenia terytoriów i przemysłu odrodzonej Polski, armia gen. Hallera stanowić mogła czynnik o trudnym do przeceniania znaczeniu. Stąd nie dziwi, że od pierwszych chwil, kiedy władza Piłsudskiego w Warszawie się ustabilizowała, czynione są przez stronę rządową starania, aby armię tę sprowadzić do Polski. Co robi endecja? Stara się na wszelkie sposoby zwalczyć te starania, mając świadomość, że armia Hallera jest jej jedną z głównych kart przetargowych i politycznych atutów w rozmowach tak z Piłsudskim, jak i aliantami. Co więcej, politycy endecji starają się też przynajmniej opóźnić oficjalne uznanie władzy tak Piłsudskiego, jak i premiera Moraczewskiego. W czasie kiedy trwają krwawe walki o Lwów, które szybko rozlewają się wkrótce na całą Galicję, w czasie gdy pierwsze polskie bataliony nawiązują kontakt bojowy z Armią Czerwoną, a prasy politycy wykorzystując to odrywają sporne tereny od Polski, endecja stara się jak najmocniej opóźnić powrót armii Hallera do Polski. Niech drodzy Czytelnicy i Czytelniczki sami sobie nazwą takie działanie.

Jeśli jesteśmy już przy kwestii okresu walki o Niepodległość i granice, warto wspomnieć o Wersalu. Oczywiście, konferencja ta to generalnie polskie zwycięstwo i korzystne w większości dla naszego

państwa rozstrzygnięcia, jednak ustalmy w końcu jeden fakt. To nie wyłącznie zasługa Dmowskiego i endecji, którzy przy uznaniu całej swej erudycji i umiejętności przemawiania, nie byli w Wersalu głównymi rozgrywającymi. Tymi byli przede wszystkim przywódcy zwycięskich państw alianckich, tzw. „Wielka czwórka” – Lloyd George, Orlando, Clemenceau i Wilson. To przede wszystkim z ich poglądów, postulatów i determinantów wynikały takie czy inne punkty traktatu wersalskiego, a nie z wielogodzinnych przemów Dmowskiego. Tak, robił on wrażenie swoją znajomością polityki, historii i umiejętnością rozmawiania w wielu językach. Jednak w ostatecznym rozrachunku liczy się twarda polityka i siła, a te były całkowicie po stronie państw zachodnich, które pokonały państwa centralnej w trakcie konfliktu światowego. Dlatego też kiedy mówimy o Wersalu i wspominamy Dmowskiego, to wspomnijmy też 2 innych architektów tego traktatu: Clemenceau i Wilsona. W ogólnej ocenie Wersalu to oni byli przede wszystkim twórcami ładu wersalskiego, a więc i decyzji odnośnie terytorium Polski.

Tam zaś, gdzie endecji udawało się zgodzić z prawem i porządkiem działać politycznie, tam często gęsto popełniała straszliwe błędy. O Spa i Rydze już wspomnieliśmy, tymczasem być może największym błędem endecji była konstytucja marcowa, która jak w oku soczewki skupia i pozwala wyłuskać przywary tego obozu: klasowość, partyjniactwo, przewagę interesu swego stronnictwa nad interesem państwa. Konstytucja marcowa, napisana głównie przez endecję, była wzorowana na rozwiązaniach francuskich i stanowiła typowo demoliberalny produkt swoich czasów. Konstytucja ta umniejszając do granic absurdu uprawnienia władzy wykonawczej na rzecz parlamentu i rządu powstała w takim a nie innym kształcie tylko z jednego powodu: aby uderzyć w Piłsudskiego, który jak się powszechnie spodziewano zostanie wybrany pierwszym prezydentem odrodzonej Polski. Abstrahując od politycznych okoliczności, znowuż spójrzmy na fakty: odrodzona po 123 latach politycznego niebytu Polska staje wobec konieczności ułożenia swojego ustroju i politycznego ładu, a jednym z

głównych determinantów autorów konstytucji jest niechęć do przewidywanego prezydenta. Przeczy to całkowicie tezie o politycznej odpowiedzialności endecji i jej dążeniu do prymatu interesu narodowego. Podobna sytuacja uwidoczniła się w roku 1919 w kontekście planowanej reformy rolnej. Dmowski w jednym z listów do swych współpracowników przyznaje wprost, że wstępne poparcie endecji dla tej reformy było błędem. Wynika to zaś z faktu, iż endecja przez to...straciła część poparcia udzielanego jej wcześniej przez ziemiaństwo. Nie pisze Dmowski nic o losie ludności wiejskiej, o kwestiach gospodarczych etc. Wyznacznikiem tak istotnego zagadnienia jak kwestia rolna jest dla Dmowskiego tylko li wyłącznie ilość głosów. Ciężko nie widzieć podobieństwa do obecnych czasów polityki opartej o sondaże i badania opinii publicznej.

Mam oczywiście świadomość, że osoby wychowane na klasycznych pozycjach literatury endeckiej nie posiadają się z oburzenia na powyższe akapity. Przecież to zły socjalista Piłsudski, który śmiało okradać jaśnie panującego nam cara pod Bezdunami prowadził Polskę do zguby, a endecja robiła co tylko mogła, aby uratować zdrową tkankę Narodu od poniesienia skutków tej polityki. Pytanie czy faktycznie los wszystkich Polaków interesował endecję? Być może najwyższa pora postawić zasadnicze pytanie: czy społeczno-ekonomiczne koncepcje endecji nie tylko nie pomijały interesów milionów naszych rodaków, którzy byli wręcz większością, ale czy praktyka polityczna endecji nie była wprost wroga jakiegokolwiek próbie polepszenia ich bytu?

Robotnicy, chłopi, ziemianie

Wbrew różnym twierdzeniom endecja nigdy nie miała dobrej prasy wśród robotników – ci właściwie prawie wszędzie popierali PPS,

czasem chadecję, czasem różne emanacje obozu piłsudczykowskiego, a w latach 30-tych nawet narodowych radykałów (choć ci nie mieli oficjalnie żadnej partii czy reprezentacji politycznej). Endecję zaś kojarzono jako partię, która zbrojnie wystąpiła przeciwko robotnikom w roku 1905 i w wielu innych wypadkach okresu zaborów. Wspomniane powiązanie wyborcze, polityczne i ekonomiczne z klasami posiadającymi z definicji stawiały endecję na pozycji niechętnej jakimkolwiek przywilejom robotniczym. Uwidocznilo się to z całą mocą w świeżo odrodzonej Polsce. Fanatyczny sprzeciw wobec rządu lubelskiego i jego socjalnych oraz społecznych ustaw oraz niechęć wobec rządu Moraczewskiego, który reformy te utrwalił na cały kraj miały zabarwienie nie tylko czysto polityczne, wynikające z walki o rządzenie Polską. Dla endecji 8-godzinny dzień pracy, ubezpieczenia socjalne i emerytury, prawo do urlopu, wolne niedziele etc. naprawdę były „bolszewizmem”. Przypomina to Wam coś? Na przykład Korwina, Konfederację, kolibrów i współczesnych neoliberalnych fanatyków Balcerowicza? Jeśli tak, to macie rację. Endeckie pomysły na ekonomię opierały się na niechęci wobec jakichkolwiek socjalnych i społecznych osłon, optowały za „dobrowolnością umów”, wolnym rynkiem, niskimi podatkami i generalnie złotą szlachecką wolnością. Podobnie z reformą rolną – wspomniana już reorientacja endecji w tej sprawie była symptomatyczna i w gruncie rzeczy zrozumiała. Endecja niechętnym, wręcz nienawistnym chwilami okiem, patrzyła na ubezpieczenia socjalne, na postulaty zwiększenia pensji robotniczych, czy na Kodeks Pracy. Wszelka działalność robotnicza, a pamiętajmy, że przed wojną była ona ogromnie rozwinięta, była traktowana jako wstęp do bolszewizacji kraju, sterowany oczywiście przez Żydów i masonów. Warto też pamiętać, że w II RP pamięć ludzka była dużo solidniejsza i po prostu pamiętano endecji wszelkie jej grzeszki, walkę z robotnikami i zwalczanie wszelkiego ustawodawstwa socjalnego. Pamiętano także krwawe zamieszki w Krakowie w 1923 roku, gdzie chjeno-piastowski rząd wysłał wojsko do tłumienia protestów robotniczych.

Związek Ludowo-Narodowy, będący politycznym przedstawicielstwem endecji, był zwyczajną i normalną partią polityczną. Nie aspirował w gruncie rzeczy do reprezentowania i skupienia wokół siebie wszystkich Polaków i Polek. Partia bowiem, w klasycznym rozumieniu (a ZLN był klasyczną partią polityczną) to także organizacja o charakterze klasowym. Stąd też na endecję głosowali przede wszystkim przedstawiciele klas posiadających, ziemianie, urzędnicy, akademicy, część mieszczaństwa. Jednak to było maximum wyborczych możliwości endecji – wynik na poziomie ok. 30%. To zresztą jedna z charakterystycznych cech systemu II RP, że żadna klasyczna siła polityczna nie była w stanie ze względów klasowo-społecznych zdobyć przeważającej większości głosów. Miało to też określone konsekwencje w postulatach, programach politycznych i realizowanych działaniach. Stąd nie ma co się dziwić, że endecja popierana głównie przez majątniejszą część społeczeństwa, w polityce forsowała głównie rozwiązania będące grupom tym na rękę, a zwalczała wrogo im postulaty robotnicze, chłopskie etc. Oczywiście dla wielu ideologów endeckich była to kwestia nie tyle polityczna, co ideologiczna. Przykładem może być tu Adam Doboszyński, autor jednej z najbardziej przereklamowanych książek w historii polskiej myśli narodowej: „Gospodarki narodowej”. O ile udało mu się na kartach tej pozycji trafnie zdiagnozować problemy ekonomiczne Polski: kapitalizm, nierówności społeczne, pauperyzację milionowych mas robotniczych i chłopskich, to niestety proponowane przez niego rozwiązania były całkowicie mylne, charakteryzujące się zarówno kompletnym niezrozumieniem sytuacji Polski i jej ludności, jak i niechęcią wobec określonych grup społecznych. Doboszyński bowiem opierając się na ideach korporacjonizmu uznał, że najlepsze dla Polski będzie zdecentralizowanie gospodarki i przemysłu oraz wypracowanie sytuacji, w której jak największa ilość Polaków będzie właścicielami małych, rodzinnych zakładów pracy, co ustanowi ich właścicielami środków produkcji. Myśl ta kompletnie pomijała nie tylko strukturę ekonomiczną kraju, ale przede wszystkim jego położenie geopolityczne. Masowa industrializacja i urbanizacja, które tak krytykuje Doboszyński,

były nie opcją, ale nakazem wobec coraz bardziej agresywnej polityki i zamiarów zarówno ZSRS jak i Niemiec. Małe przedsiębiorstwa nie przysparzały ani wtedy ani teraz bogactwa narodowego. To duże firmy i przedsiębiorstwa są w stanie w skali strategicznej przysporzyć państwu oraz społeczeństwu szeregu profitów. Produktywność i efektywność małych przedsiębiorstw, podobnie jak ich innowacyjność czy dochodowość były i są nadal na bardzo niskim poziomie. To zresztą kolejny punkt, gdzie myśl endecka jest zbieżna w 100% z poglądami obecnego obozu libertyńsko-populistycznego. Pamiętajmy też, że Doboszyński optował za organizacją stanowo-korporacyjną i swoistym przywiązaniem do stanu, w którym się człowiek urodził. W połączeniu z nienawiścią do środowisk robotniczych i postulatem walki z centralizacją przemysłu, musiało to doprowadzić do utrwalenia biedy i wykluczenia w milionowych masach ludzi pracujących. Doboszyński, samemu będąc przedstawicielem klasy średniej i członkiem środowiska politycznego skupiającego głównie zamożnych ludzi, propagował (być może podświadomie) poglądy i idee pożyteczne dla swojej klasy społecznej i politycznej. Niestety – tylko dla niej, w całkowitym oderwaniu od sytuacji dziejowej i nadciągającej wojny oraz bez faktycznego zrozumienia problemów milionów Polaków i Polek będących robotnikami, pracownikami rolnymi czy niższymi urzędnikami.

W porównaniu z programem ekonomicznym RNR Falangi, „Jutra pracy” czy Zadrugi okazuje się, że myśl ekonomiczna i społeczna endecji zwyczajnie wypada słabo, klasistowsko i w gruncie rzeczy nie da się tego uznać za faktycznie program mający poprawić byt całego Narodu. Jest to raczej miks liberalnych resentymentów XIX wieku, skutków takiego a nie innego charakteru klasowego partii oraz bieżącej polityki, gdzie krytykowano sanację za „rozdawnictwo” równie chętnie co dzisiaj konfederaci krytykują PiS i walczą z socjalizmem.

Poparcie

Sam Dmowski miał doskonale świadomość w maju 1926 roku jaka jest jedna z głównych przewag obozu piłsudczykowskiego. Ten bowiem, o ile posiadał oczywiście niemałą opozycję, o tyle był w stanie uzyskać władzę i sprawować ją bez większych zaburzeń społecznych. Ludzie nie popierali, zwłaszcza w Wielkopolsce czy na Pomorzu sanacji ale ją zaakceptowali. Z endecją sprawa ma się inaczej. Kierownictwo tego środowiska miało świadomość, że w razie gdyby endecja posunęła się do kroku takiego jak Piłsudski 12 maja, to Polskę czekałaby wojna domowa. I to nie wojna 3-dniowa, ograniczona terenem do kilku dzielnic jednego miasta, ale wojna która rozlałaby się na cały kraj, bo nie tylko robotnicy czy część inteligencji stanęliby zbrojnie, ale przede wszystkim mniejszości narodowe. To znamionuje problem związany z szeregiem opcji prawicowo-konserwatywnych jakie przewinęły się przez XX wiek przez Europę. Franco, Salazar, De Gaulle i jeszcze parę innych osób – wszyscy oni nie byli w stanie wypracować formuły, która skupiłaby kogoś więcej niż tylko ich zdecydowanych zwolenników. Co więcej, ludzie ci nie wykształcili żadnego pomysłu na utrwalenie swych systemów i środowisk, które opierały się tylko na ich autorytecie, oraz w niektórych wypadkach także na aparacie przymusu (politycznego, administracyjnego, wojskowego). Tak długo jak żyli, systemy te trwały siłą ich autorytetu i charyzmy, jednak w gruncie rzeczy pod płaszczykiem rzekomych form konsolidacji narodowej, rozwijały się bardzo mocne i rozwinięte grupy opozycyjne. Systemy nie wypracowały, może nie były nawet w stanie, żadnej formy realnej konsolidacji społecznej i narodowej. Były po prostu objawami zdecydowanego zwycięstwa jednej grupy nad drugą, jednak bez porozumienia i współpracy.

Identycznie sprawa miała się z endecją, z tą różnicą, że ta po prostu nie radziła sobie w polityce. O ile, jak trafnie zauważył w „Polityce

Narodowej” Kuba Siemiątkowski, Piłsudski brał władzę kiedy chciał, jak chciał i w jakim zakresie mu się podobało, o tyle endecja nie była w stanie tego zrobić. Jako siła polityczna na wskroś cywilna nie miała poparcia w wojsku, robotnicy i chłopci czuli do niej wyłącznie niechęć graniczącą z nienawiścią, a mniejszości narodowe miały doskonale świadomość, że plany endeckie zakładają walkę z ich świadomością narodową poprzez „polonizację”. Polityka zaś to dążenie do realizacji określonych postulatów i po prostu walka o władzę. Jeśli stworzymy siłę polityczną, która sama sobie uniemożliwia dojście do władzy czy raczej jej utrzymanie, to niestety skazuje to na postępującą nieskuteczność i odpływ działaczy, czego endecja doświadczyła (po raz kolejny) w roku 1934. Tu nie chodzi już tylko o takie czy inne poglądy, ale przede wszystkim o samą polityczność *per se*. Polityka to nie konkurs piękności ale dążenie do uzyskania władzy w danym kraju. W tym ujęciu Piłsudski był człowiekiem w pełni politycznym, do tego mającym możliwość rządzenia całym krajem bez większych zaburzeń. Endecja zrobiła dużo, by sobie takie coś uniemożliwić i to trwale. Cała historia działania endecji od 1926 roku do 1934 to pasmo właściwie porażek, złych prognoz i dostosowywania się do sytuacji politycznej, zamiast jej kreowania. Nie dziwi więc, że w żadnym stopniu endecja nie zagroziła władzy sanacji i samego Piłsudskiego.

Oczywiście, polityka w takim rozumieniu nie uwzględnia kwestii tego „kto miał rację”. To zresztą dużo szerszy problem, bo paradoksalnie to obóz Marszałka był bliższy stworzenia formy konsolidacji całego Narodu. Wynikało to zarówno z koncepcji tego obozu, które skupiały się na państwie, jak również z politycznej pragmatyki obozu Piłsudskiego i późniejszej sanacji. Ludzie ci nie walczyli z robotnikami, chłopami, mniejszościami. Ludzie ci deklarowali walkę tylko z określonymi patologiami (sejmowładztwo, korupcja, niewydolność polityczna) czy ewentualnie z określonymi grupami politycznymi (komuniści, po części endecja). Do tego autentyczna charyzma Komendanta oraz wysokie poparcie wśród wojska, administracji etc. tylko wzmacniały polityczne

możliwości sprawowania władzy przez sanację. Sam zresztą zamach majowy, przeprowadzony doraźnie, po troszę amatorsko i przy założeniu, że będzie to tylko demonstracja polityczna (Piłsudski nie dążył do jakichkolwiek walk) wykazał jak słaba, chwiejna i nieskuteczna jest endecka władza. Władza ta, sprawowana zresztą z konieczności w koalicji z umiarkowanym PSL „Piast”, obalona została przy naprawdę niewielkich środkach i w sytuacji, gdy całkiem sporo jednostek wykazywało jeszcze wolę walki w obronie Prezydenta. To zresztą ciekawe, że w maju 1926 roku żołnierze bronili właśnie przede wszystkim Wojciechowskiego czy praworządności lub konstytucji. Mało kto chciał się przyznać, że broni rządu chjeno –piasta. Ten zresztą złożył dymisję nie tyle przez rzekome poczucie odpowiedzialności za kraj – jak wykazaliśmy wyżej politycy endeccy często gęsto mijali się zupełnie z taką odpowiedzialnością. Rząd Witosa upadł między innymi wobec faktu, że społeczeństwo Warszawy stanęło właściwie jednogłośnie po stronie Piłsudskiego, a dalsze trwanie chjeno-piasta w oporze groziło masowymi rozruchami robotniczymi na terenie całego kraju. W Warszawie próbowano już wszakże formować ochotnicze bataliony robotnicze. Co ciekawe Piłsudski nie wyraził zgody na ich uzbrojenie i jakiegokolwiek wykorzystanie. To właśnie objaw odpowiedzialności za państwo i kraj. Jak najszybciej skończyć wewnętrzny konflikt, bez niepotrzebnego i zgubnego jego eskalowania. W tym samym czasie generałowie walczący przeciw Piłsudskiemu wydawali rozkazy bombardowania ludności cywilnej (Zagórski) czy snuli plany fizycznej likwidacji zwolenników Piłsudskiego (Rozwadowski).

Nieodłącznym elementem idei narodowej, o czym powtarzamy raz po raz w „Szturmie”, musi być polityczna skuteczność. Nikogo nie interesuje „moralne zwycięstwo” czy „komu historia przyzna rację”. Tą ostatnią piszą zresztą zwycięzcy. Z tego punktu widzenia przyznać trzeba, że endecja nie jest najwłaściwszym wzorem, a jej losy polityczne w II RP to niestety pasmo przegranych szans i rosnącego braku wpływu na politykę i Naród.

Nowe czasy, nowy nacjonalizm

Endecja już w latach 30-tych musiała zmierzyć się ze swą ideologiczną niewydolnością. Objawem tego była secesja młodych i powstanie ONR-u. Endecja wyrosła z korzeni liberalizmu XIX-wiecznego, i pomimo prób dostosowania się do zmieniających się okoliczności (choćby powołanie OWP), to jednak uznać trzeba, że pierwiastki liberalny, partyjny, a także ugodowy pozostały istotnym elementem tegoż obozu. Dlatego też endecja pozostała klasyczną partią polityczną zdecydowanie daleką od reprezentowania i bronięcia interesów całego Narodu.

Dziś, wiek później stoimy wobec problemów i wyzwań, które różnią się diametralnie od okresu pierwszej połowy XX wieku. Dziś wrogiem naszego Narodu nie jest carat czy cesarstwo niemieckie. Państwo nasze nie boryka się z problemem mniejszości żydowskiej czy ukraińskiej (choć w drugim wypadku dzięki polityce PiS-u kwestia masowej imigracji pracowników z Ukrainy jest ważnym zagadnieniem). Dziś wszystkie Narody Europy stoją nie wobec wewnętrznej rywalizacji między sobą, co było w koncepcji Dmowskiego głównym determinantem dziejów ludzkich. Dziś nasze Narody mają tych samych wrogów: liberalizm, kapitalizm, nowolewicowe koncepcje ideologiczne, które podważają absolutnie każdy aspekt naszego życia, tożsamości i ludzkiej świadomości. Dziś nie walczymy z germanizacją czy rusyfikacją, nie grozi nam wywózka na Syberię czy szubienica na stokach Cytadeli. Dziś w Warszawie, Berlinie, Moskwie, Paryżu, Kijowie czy Londynie walczymy z tym samym wrogiem. Wróg ten nie chce nam zmienić świadomości narodowej czy nawracać nas na inną wiarę. Wróg ten chce w ogóle zniszczyć Narody, zniszczyć religie, zniszczyć rodzinę, tradycję i jakiegokolwiek poczucie odrębności. Celem naszego wroga jest podważenie

wszystkiego, co tworzy nas jako ludzi: narodowości, poczucia etniczno-kulturowej odrębności, płciowości, lokalnych zwyczajów, języka, prawa do śmiania się i radowania. Wróg chce nas zmienić nie w obywateli caratu, cesarstwa czy wyznawców prawosławia. Wróg chce nas zmienić w *konsumentów*. Poprzez ludobójczą politykę multi-kulturalizmu mamy stracić wszystkie wyróżniki swego człowieczeństwa, które zastąpi światowa polityka konsumpcji, przeglądania memów, oglądania śmiesznych filmików na youtube i nie zadawania pytań. Stąd wypływa konieczność obecności w nowoczesnej idei narodowej kwestii paneuropejskiej. Nacjonalizm nie może być szowinistyczny, gdyż wrogiem naszym nie są i nie mogą być inne Narody europejskie. Dość antagonizmów, wojen i konfliktów. Dość ludzi budujących polityczny kapitał na podsycaniu historycznych resentymentów. Europejskie Narody tworzą wielką rodzinę bratnich nacji. I nie mówię tu tylko o Węgrach. Naszymi braćmi i siostrami są członkowie Narodu francuskiego, włoskiego, brytyjskiego, litewskiego... a także niemieckiego, ukraińskiego czy białoruskiego. Tak! Najwyższa pora skończyć z histerią i post-endecką polityką sztucznego podsycania konfliktów narodowościowych czy etnicznych. Nie musimy się we wszystkim zgadzać, ale naszym wrogiem nie jest Niemiec z Berlina, który coraz bardziej odczuwa „piękno” polityki imigracyjnej czy Ukrainiec zmuszony przez rzeczywistość do emigracji do naszego kraju. Naszym wspólnym wrogiem jest liberalizm, który warunkuje te wszystkie czynniki; wrogiem są idee nowolewicowe, które liberałowie wykorzystują do podważania naszej tożsamości i forsowania swych planów; wrogiem są koncerny i międzynarodowe korporacje, które na tym wszystkim zarabiają niewyobrażalne pieniądze, a jednocześnie drenują nasze Narody z zysków i doprowadzają do naszej pauperyzacji.

Czy myśl endecka jest w stanie stanowić inspirację do wypracowania myśli nacjonalistycznej, która będzie realną alternatywą dla liberalizmu? Czy jest to w ogóle możliwe, skoro myśl ta- jak zobaczyliśmy – już przed wojną była nieskuteczna i wsteczna? Nie musimy być niewolnikami trumny Dmowskiego, która jako jedna z dwóch miała

rządzić polską polityką (wedle słów Cata-Mackiewicza). O ile jednak myśl Piłsudskiego, choćby w kwestii geopolityki (Międzymorze, Rosja) pozostaje cały czas aktualna, to trzeźwa i pozbawiona sentymentów analiza wykazuje, że myśl endecka ma coraz mniejszą przydatność. Nie tylko wiąże się ona z liberalizmem ekonomicznym i praktyczną antypaństwowością czy politycznym warcholstwem. Wpływa ona także na to, że zamiast szukać sposobów przeciwstawienia się faktycznym wrogom, zastanawiamy się nad zagrożeniem „banderowskim”, chcemy zakazywać szczepionek lub zwalczamy „satanistę” Billa Gatesa. Nie tędy droga. Endecja była myślą adekwatną do swoich czasów i w wielu aspektach endecja położyła dla Polski niezaprzeczalne zasługi, przede wszystkim w samoorganizacji Narodu i pracy nad jego uświadomieniem narodowym. Czasy jednak się zmieniają, i pewne formy, treści i koncepcje pora ostatecznie odłożyć na półkę z historycznymi pamiątkami.

Przyszły nowe czasy, mamy nowe wyzwania i nową, coraz bardziej globalistyczną rzeczywistość. Wypracujmy nowoczesny nacjonalizm na miarę naszych czasów i na miarę wielkości naszych przodków, zamiast nurzać się w dawno zaprzyszłych treściach.

Grzegorz Ćwik

Monika Dębek - Z nadzieją w sercu, prosto do celu

Dum spiro, spero – póki oddycham, nie tracę nadziei

Nadzieja – to słowo, które towarzyszy każdemu człowiekowi niezależnie, w jakiej sytuacji życiowej się znajduje. Nadzieja dla nacjonalisty to szczególnie coś bardzo ważnego. Jest ona jedną z głównych wartości, jaką w życiu kierują się ludzie. Życie ludzkie to swoista linia, która raz leci do góry, raz do dołu. Czasami człowiek znajduje się na samym dole, po to, aby móc znowu wrócić wyżej. Życie człowieka to nieustanna wędrówka, drogami, który bywają proste, szybkie, wygodne, niewymagające żadnego wysiłku w ich przejściu. Są też ścieżki, które na początku wydają się nam do nieprzejsia. Mgliste, z wielką ilością kamieni wbijających się do obuwia. W czasie tej drogi często musimy iść cały czas w górę lub wydaje się ona wyjątkowo spadzista, martwimy się, że możemy polecieć w dół i nie wrócić już na dany szlak. Czym tak naprawdę jest nadzieja? W starożytnej Grecji oznaczała po prostu oczekiwanie. Niezależnie czy czekało się na coś dobrego, czy na coś złego. Obecnie rozumiemy ją jako pragnienie dobra, które ma podejść. Najprościej ujmując, jest to życzenie określonego stanu rzeczy związanego z niepewnością, że tak się stanie. Jeśli subiektywnie odczuwamy, że coś nie jest w stanie się wydarzyć, wtedy ją tracimy. Utracie nadziei towarzyszą bardzo przykre uczucie takie jak smutek, rozczarowanie, żal, gniew, złość. Należy jednak zadać ważne pytanie, czy nacjonalista może być człowiekiem pozbawionym nadziei? Odpowiedz brzmi: nie. Nacjonalista to osoba, która niezależnie od sytuacji w swoim życiu prywatnym czy w kraju zawsze walczy do końca. Niezależnie od tego, w jakich ciemnościach się znajduje, ciągle szuka pociechy i sposobów na rozwiązanie problemów. Osoba kochająca swój naród, nie może być pesymistycznie, negatywnie nastawiona do życia i do swojej działalności. Inaczej nie ma ona po prostu sensu. Aby nasze cele mogły przynieść pozytywne skutki, aby działanie zakończyło się w taki

sposób, jaki chcemy, należy patrzeć pozytywnie. Oczywiście musimy patrzeć realistycznie na otaczający nas świat i problemy społeczne. Jednak nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach trzeba podejmować walkę. Nawet jeśli zakończy się ona porażką, wiemy, że podejmowaliśmy bój w słusznej sprawie. Nadzieja – to coś, co dodaje otuchy każdego dnia, nawet w ten najbardziej pochmurny. To coś w rodzaju światełka w tunelu, w jego stronę idziemy, wtedy gdy wydaje się nam, że nie ma już innej drogi. Wiara i nadzieja, dają nam moc, często taką, która jest w przenośni w stanie przenosić góry. W ciężkich momentach sprawia, że mamy siłę zacząć od nowa. To ona wyzwala w nas ogromne pokłady energii. To ona jest w stanie prowadzić nas do tego, co lepsze. Jest ona konieczna w naszym życiu, bez niej nic nie miałoby sensu. Jak wyobrazić sobie sytuację, że czeka nas jakieś życiowe wyzwanie, a my nie mamy nadziei, że nam się uda. Jest ona motorem napędowym i utwierdza nas w przekonaniu, że będzie lepiej. Sytuacja w naszym kraju nie jest ciekawa, sami wiemy doskonale, jak wygląda nasze społeczeństwo, jednak z nadzieją w sercu, energią jesteśmy w stanie iść do przodu i podejmować walkę każdego dnia. Niech więc nadzieja będzie w każdym z nas i niech jej nikomu nie zabraknie żadnego dnia.

Monika Dębek

Adrianna Gąsiorek - "Moralny" obowiązek - głosowanie wyborcze

Jesteśmy już po pierwszej turze wyborów na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej. Przed nami druga tura, która odbędzie się 12 lipca bieżącego roku. W poniższym artykule nie będę komentować wyników czy interpretować, co wydarzy się za niecałe dwa tygodnie.

Interesuję mnie zupełnie inne zagadnienie – przekonanie, że udział w wyścigu wyborczym jest naszym moralnym obowiązkiem wobec Narodu i Ojczyzny. Czy rzeczywiście tak jest?

Wiemy doskonale, że czynne prawo wyborcze w Polsce dotyczy osób posiadających obywatelstwo polskie, które do dnia wyborów ukończyły 18 lat. Praw wyborczych nie posiadają osoby ubezwłasnowolnione (choroba psychiczna, niedorozwój) lub skazane prawomocnym orzeczeniem sądu na pozbawienie praw publicznych albo praw wyborczych.

Reszta z nas może brać udział w starciach wyborczych, oddawać głos w referendum oraz mieć prawo wybierania Prezydenta Rzeczypospolitej, posłów, senatorów i przedstawicieli do organów samorządu terytorialnego. Jak widać zatem mamy możliwość do tego, aby zdecydować, kto ma rządzić naszym krajem czy miastem.

Nie zawsze tak było w przypadku, chociażby kobiet. I chociaż zwolennicy Korwina, jak i on sam, chętnie wróciliby do czasów, w których płęć żeńska mogła, co najwyżej wybrać, na którym talerzu poda strawę swojemu mężowi, to sytuacja znacznie się zmieniła. 28 listopada 1918 roku Józef Piłsudski podpisał Dekret Naczelnika Państwa o ordynacji

wyborczej. Oczywiście nadal zdarzały się nierówności w tym aspekcie, ale na pewno było to przełomowe wydarzenie, które miało zapewnić każdemu pełnię praw obywatelskich.

Możemy przyjąć zatem, że według prawa mamy PRAWO do wybierania swoich kandydatów i do tego, aby wpływać na małe Ojczyzny, czy na sytuację w całym kraju. Nie ma jednak mowy o żadnym OBOWIĄZKU, jak to ma miejsce w niektórych przypadkach. Jest co najmniej kilka państw, które stosują przymus wyborczy. Jest to prawo przewidujące sankcje za brak udziału w głosowaniu w wyborach powszechnych bądź referendum. Ustanowienie takiego prawa zostało podyktowane przekonaniem, że każdy obywatel ma obowiązek choćby minimalnej troski o swój kraj, wyrażającej się przez udział w wyborach i referendach. Obecnie przymus wyborczy istnieje w Singapurze, Australii, Belgii i Wenezueli. We Włoszech przymus wyborczy istnieje, lecz nie ma możliwości egzekwowania go ze względu na brak przepisów wykonawczych. Najczęstszą sankcją za niepodporządkowanie się temu prawu, z wyjątkiem Wenezueli, gdzie grozi za to areszt, jest grzywna.

Wróćmy jednak na nasze podwórko. Bardzo często słyszę argument, że jeśli nie postawię krzyżyka przy żadnym z kandydatów lub nie wezmę udziału w wyborach, to znaczy, że nie zależy mi na losie Polski i oddaje ją w złe ręce. Taki pogląd znam w zasadzie już od wczesnych czasów szkolnych.

Pierwsze lekcje wiedzy o społeczeństwie sugerowały, że nieważne jest, ile będę wiedzieć na temat polityki i jak bardzo będę się angażować w sprawy społeczne, liczy się to, że mam spełnić „moralny” (bo nie prawny) obowiązek uczestnictwa w wyborach.

Do tej pory takie głosy są istotą owych lekcji w polskich szkołach. Niestety nic za tym więcej nie idzie. Nikt nie zastanawia się, skąd młodzi ludzie mają czerpać wiedzę na temat programów politycznych, szukać informacji, jaka jest przeszłość konkretnego kandydata, jakie są jego wizje na zmiany w różnych obszarach państwa itd. Lekcje WOS-u nie przybliżają nam takich zagadnień w zasadzie w ogóle.

Nie można zatem dziwić się, że w systemie demokratycznym wygrywają stale te same osoby albo, że możemy usłyszeć dość pokrętną argumentację na temat wyborów – ktoś dobrze wygląda w garniturze itd. Edukacja wpaja młodym osobom, że mają obowiązki polityczne, ale zupełnie nie uczy ich, czym jest polityka sama w sobie i że wcale nie oznacza tylko i wyłącznie kilku głosowań.

Widzimy zatem rzesze ludzi, którzy do ostatniej chwili nie wiedzą, na kogo oddać swój głos. Osoby, które próbują taktycznie obliczać szanse różnych kandydatów i na tej podstawie wybierają swojego przedstawiciela. Wreszcie tych, którzy obserwują, jakie nastroje są w społeczeństwie albo na kogo głosuje ulubiony celebryta czy dziennikarz.

Naprawdę uważamy, że w ten sposób spełniają oni jakichś mityczny obowiązek wobec Polski? Czy osoby kompletnie nieinteresujące się tym, co dzieje się na co dzień i niemające żadnej wiedzy w owych tematach, nagle stają się przykładowymi obywatelami?

Trochę mi to przypomina „wielkich” patriotów, którzy poza wywieszeniem flagi na 11 listopada nie wiele wiedzą o swoim kraju.

Z drugiej strony widziałam wiele oświadczeń przed tegorocznymi wyborami, które zamieszczały mniejsze organizacje nacjonalistyczne. Podobnie zresztą zrobiliśmy jako Obóz Narodowo-Radykalny. Wiem, że i

część czytelników Szturmu została w domach. Czy to świadczy o tym, że osoby te nie spełniają swoich narodowych obowiązków? Mimo że pracują na rzecz Polski cały rok?

Moim zdaniem powinniśmy przestać robić z oddania głosu jakiegoś nadzwyczajnego wydarzenia czy wysiłku, do którego zmusiło się 64% Polaków. Jak wielu z nich jest w stanie przedstawić swój światopogląd? Ocenic program polityczny kandydatów? Czy poza spacerem do lokalu wyborczego faktycznie realizują obowiązki narodowe? Zostawmy te pytania retorycznymi.

Z drugiej strony wiem, że wielu z Was nie poszło do urn wyborczych, właśnie dlatego, że interesujecie się polityką. I wiecie, że głosowanie za mniejszym złem, nie jest żadnym wyjściem. Jestem w stanie zrozumieć tych, którzy naprawdę utożsamiają się z danym reprezentantem czy partią polityczną i po prostu wsparli swojego kandydata z czystym sumieniem (we własnym mniemaniu).

Jednak wielu z nas takiej przejrzystej sytuacji nie miało i pewnie przez wiele lat nic się w tym aspekcie nie zmieni. Nikt jednak nie może nam zarzucić, że nie spełniamy narodowych obowiązków.

W moim przekonaniu ochrona Polski przed utopią demokracji i wybieraniem mniejszego zła to także droga, którą warto wziąć pod uwagę. Szczególnie że kandydaci często wybierają interesy sprzeczne z interesem narodowym. Bywają zależni od wpływów zewnętrznych lub po prostu tkwią w układach wewnętrznych. Ciężko zatem z czystym sumieniem oddać głos na któregokolwiek z nich.

Stanowisko nacjonalistów jest zrozumiałe i przedstawiliśmy je w poniższym fragmencie:

„Jako Obóz Narodowo-Radykalny kierując się w swoich działaniach wyłącznie Ideą i dobrem Polski, wobec braku kandydata reprezentującego nacjonalistyczny i antysystemowy punkt widzenia nie udzielaliśmy poparcia żadnemu ze startujących kandydatów. Uważamy, że jest to kolejny tragikomiczny spektakl demoliberalnego teatryku. Wszyscy startujący kandydaci są politykami głęboko osadzonymi w demoliberalnym systemie, pomimo tego, że ciągle atakują się nawzajem i tworzą pozory jakoby mieli mieć różne od siebie idee i programy. Wyrażamy nasz sprzeciw wobec podsycania sztucznej wojny polsko-polskiej, manipulowania Polakami i antagonizowania polskiego społeczeństwa w imię interesów koterii politycznych. Naszych sympatyków namawiamy do zbojkotowania wyborów i przestrzegamy przed demoliberalnymi politykami próbującymi przybierać narodową retorykę, celem przyciągnięcia patriotycznego elektoratu.”

Może właśnie obowiązkiem naszego środowiska jest uświadamianie, jak błędne koło toczy Polskę od wielu lat?

Adrianna Gąsiorek

Witomysł Myduj - SXE a medycyna stylu życia

Ostatnimi czasy modny w środowisku nacjonalistycznym jest temat ruchu straight edge. Tymczasem okazuje się, że wcale nie jest oczywiste co należy przez niego rozumieć. W uproszczeniu można zaryzykować definicję, że jest to życie wolne od używek. Zwyczajowo mówi się tu o papierosach, alkoholu i szeroko rozumianych narkotykach. Jednak są to nieprecyzyjne terminy, ponieważ zawierają się one w znacznie bardziej rozległym koszyku „substancji psychoaktywnych”. Część osób pyta, „a co z kofeiną?”. Niemalże wszystkie używki, ale też część nawyków (np. masturbacja/pornografia) pobudza w mózgu układ nagrody, którego nadmierna stymulacja zaburza równowagę psychofizyczną.

Niewątpliwie dążymy do tego aby nacjonalizm stał się silnym i awangardowym nurtem na scenie społeczno-politycznej. Nie da się jednak zbudować takich struktur na słabych jednostkach. Nie rzadko zauważamy przecież, iż osoby z dużymi deficytami w kluczowych dziedzinach życia próbują oddziaływać na naród. Jest to swojego rodzaju ucieczka od problemów w radykalizm. Nieuchronnie będzie to szkodliwe lub niebezpieczne działanie, a każdy kto wytrwale działa w ruchu zdążył zobaczyć już nie jeden taki przypadek. Czasem kończy się to groteskową anegdotką i odsunięciem osoby ze środowiska, a inny razem niestety może uderzyć w organizację i dobre imię nacjonalistów. Podsumowując, nie da się skutecznie oddziaływać na społeczność stojąc na kruchych fundamentach, a nacjonalizm potrzebuje ludzi o twardej dyscyplinie i niezłomnej postawie, gdy sytuacja społeczno-polityczna nabierze większej dynamiki.

Artykuł nie ma na celu wyznaczać sztywnych ram straight edge.

Chciałbym skupić się natomiast na szeroko rozumianym zdrowym stylu życia. Mam świadomość, że dla części osób większość tych zagadnień może wydawać się trywialna i oczywista, jednak statystyki dotyczące poszczególnych dziedzin, które poruszę, są wciąż zatrważające, dlatego

też postanowiłem zwięźle przedstawić poszczególne zagadnienia. Zachęcam do zapoznania się z nimi, a następnie poszerzenia wiedzy w dziedzinie, w której zwyczajnie warto coś u siebie poprawić.

W branży zdrowotnej ostatnio wykrystalizował się nowy sektor, wspomnianej w tytule medycyny stylu życia. Opiera się ona na założeniach, że łatwiej zapobiegać chorobom niż je leczyć. Wydaje mi się, że to stosowne przesłanie również dla działaczy. Wystrzegajmy się zatem słabości zamiast nieustannie porządkować szkody z nich wynikające.

Przejdźmy do rzeczy!

1. DIETA. Obecnie w Internecie jest bardzo dużo solidnych portali z rzetelną wiedzą, zwłaszcza w tej dziedzinie, jednak warto skupić się na źródłach opartych na dowodach, a nie trendami promowanym nachalnie przez influencerów, a zwłaszcza powiązanymi komercyjnie ze sprzedażą suplementów diety. Wyjątkowe politowanie budzą właśnie rozmaite anegdotyczne nowinki żywieniowe z ust osoby przegryzającej właśnie wysoko przetworzone słodycze lub palące papierosa. W temacie suplementacji należy nadmienić, że jedynym suplementem, który w świetle obecnej wiedzy jest wskazany dla każdego z nas jest witamina D3 (1000-2000 jednostek, a nie promowane niekiedy ogromne dawki mogące dawać liczne skutki uboczne) w okresie jesienno-zimowym. Co więcej, należy kupować ją w formie leku (charakterystyczna jest nazwa substancji w języku łacińskim na opakowaniu), podobnie jak inne mikroelementy i witaminy pokroju magnezu czy cynku, ponieważ takie produkty przechodzą szczegółowe badania i weryfikacje procesu produkcji w odróżnieniu od suplementów diety, gdzie, mimo występowanie marek z pewną renomą, nie możemy być pewni co do ich jakości.

W wielu polskich domach niestety pokoleniową tradycją jest dieta oparta na niezdrowych tłuszczach i nadmiarze mięsa czerwonego. W dużym uproszczeniu jest to obficie smarowane masło, smażenie na smalcu i gęste sosy na śmietanie królujące wciąż na polskich stołach.

Konsekwencją tego jest nadwaga i otyłość (należy podkreślić, zwłaszcza w czasach absurdalnych, równościowych ideologii ciałopozytywności, że jest to śmiertelna choroba znacznie skracająca życie, a zwłaszcza życie w samodzielności), a także bardzo wysoka ilość incydentów sercowo-naczyniowych (zawały, udary) ze względu na miażdżycę. Ponadto dochodzą do tego ogromne porcje oleju palmowego (sprawdźcie, znajdziecie go prawie we wszystkich przetworzonych słodyczach) oraz tłuszczy trans (niskiej jakości margaryny i masła roślinne). W związku z powyższym warto doczytać i zwiększyć udział tzw. zdrowych tłuszczy roślinnych w diecie.

Kolejnym ogromnym zagrożeniem cywilizacyjnym jest cukrzyca, która już dziś zbiera ogromne żniwo natomiast prognozy wskazują, że będzie tylko gorzej. Smak słodki jest dla mózgu wyjątkowo silnym i uzależniającym sygnałem w związku tym, że jest związany z bardzo szybko przyswajalnym i energetycznym pożywieniem. Dziś jednak przy nadmiernym dostępie do tego typu produktów szybko rozstrajamy gospodarkę hormonalną, i mimo znacznego wpływu czynników genetycznych zarówno w cukrzycy I i II typu, w dużym stopniu to właśnie niewłaściwa dieta w długim okresie czasu jest czynnikiem spustowym choroby. Poza tym nawet jeśli uda się uniknąć cukrzycy, to sztuczne podbijanie energii będzie nieuchronnie powodowało wraz z późniejszym dużym wyrzutem insuliny jej spadek, dlatego też należy mieć zbilansowaną dietę i regularne posiłki, by przez cały dzień być wydajnym. Co więcej, niedawno udowodniono, że nadmiar cukru w diecie małych dzieci powoduje wręcz zaburzenia postrzegania smaków, stąd późniejsze problemy z jedzeniem warzyw itp. Prawdą pozostaje fakt, że zalecaną dawkę cukrów prostych na dzień można bardzo szybko uzupełnić wcale nie dużą ilością spożywanych owoców, co warto wziąć pod rozwagę na kolejnych zakupach...

Już wieki temu Paracelsus twierdził, że truciznę czyni jej dawka. Co więcej, wiadomo też, że nadmierna dyscyplina żywieniowa sprzyja zaburzeniom

psychicznym. Osobiście nie odmówię toastu na weselu czy urodzinach oraz ciasta z okazji odwiedzin rodzinnych, ale na co dzień staram się sztywno trzymać zdrowych nawyków. Niestety osoby, które chcą schudnąć często porywają się na radykalne diety, często niedoborowe, z nadmiernym deficytem kalorii. Jednak sukcesem nie jest krótkoterminowa terapia odchudzająca i powrót do śmieciowego jedzenia, ale zmienienie schematów żywieniowych raz na zawsze! Zdrowe odżywianie, gotowanie w domu może być zarówno źródłem oszczędności jak i ciekawą, poszerzającą horyzonty pasją.

2. **AKTYWNOŚĆ FIZYCZNA.** Choć jest to już od dawna wiadome sport wyczynowy nie jest zdrowy. Dlatego też obecnie promuje się zróżnicowaną, regularną (sic!) i umiarkowaną aktywność fizyczną, a nie skupianie się tylko na jednej dyscyplinie, jeśli nie wiążemy z danym sportem przyszłości. Zwłaszcza dużo pokory należy mieć wobec bardzo popularnej wśród amatorów siłowni, gdzie wyciskanie maksów ze złą techniką może stać się katastrofą dla naszych stawów i mięśni, w dalszej perspektywie czasu również postawy ciała. Trenując siłowo, nie należy zaniedbywać komponenty aerobowej treningu. Drugą skrajnością są maratony i biegi górskie. Ludzie lubią wyznaczać sobie ambitne cele, ale pamiętajmy że to nie są sporty dla amatorów. Myśląc nieco bardziej przyziemnie- dla wielu zwyczajna zamiana transportu do pracy/szkoły na rower lub spacer może mieć bardzo duże znaczenie zdrowotne.
3. **SEN.** Każdy potrzebuje indywidualną ilość snu w celu regeneracji, jednak mało prawdopodobne jest by młody człowiek wysypiał się śpiąc krócej niż 7h niezakłóconego spoczynku. Co więcej, niezwykle ważna jest regularność dobową tzn. chodzenie spać i wstawanie o zbliżonych porach, zwłaszcza w kontekście dojrzwania, uprawianego sportu i zaburzeń hormonalnych, ponieważ zakłócony zegar biologiczny będzie niekorzystnie wpływał na uwalnianie

wspomnianych przekąźników. Wiadomym jest też, że nie da się odespać tygodnia w weekend. Niektórzy niedobory uzupełniają drzemkami. Toczą się wśród naukowców spory czy są one korzystne, a jeśli tak, to ile powinny trwać. Należy sobie jednak odpowiedzieć indywidualnie czy są one dla nas regenerujące, a na ile jest to chaotyczna próba odreagowania niedospanej nocy, nierzadko zakłócająca plan dnia.

4. **STRES.** Jest to zbyt rozbudowany temat, aby silić się na jego rozwinięcie. Coraz to nowsze badania ukazują jak bardzo destruktywnie wpływa na różne sektory naszego zdrowia, co udowadnia, że ciało jest w nierozzerwalnym związku z psychiką. Należy zastanowić się w jaki sposób możemy ograniczyć stresory i czy w ogóle potrafimy się relaksować bez użyciu kolejnego podpunktu...
5. **UŻYWKI.** Warto zauważyć, że zależność od substancji psychoaktywnych jest niemal zawsze związana z pewnym deficytem psychologicznym. Może to być niedobór miłości, kiepskiej jakości relacje społeczne, brak pasji, możliwości zawodowego rozwoju czy właśnie odreagowywanie na wyżej wymieniony stres. Przed próbą rzucenia używki należy przeanalizować, dlaczego jesteśmy od niej zależni, ponieważ to właśnie z jakiegoś powodu impulsywne próby jej rzucenia tak często nie udają się. Wracając do kawy, może najlepiej nie przekraczać po prostu ilości 6mg/kg masy ciała, która to ilość została uznana za bezpieczną i w niektórych względach również korzystną.
6. **SEKSUALNOŚĆ.** Problem pornografii został omówiony w poprzednim moim artykule. Zaryzykuję jeszcze tylko stwierdzenie, że bez prawdziwej relacji miłosnej kobiety i mężczyzny opartej na takich przymiotach jak troska, odpowiedzialność, namiętność, szczerść, wyrozumiałość nie ma zdrowej seksualności. Tymczasem

jak jest w szybkim świecie nastawionym na przyjemność, każdy widzi.

7. RELACJE SPOŁECZNE. Często w środowisku jest odcinanie się od *normików* i myślących inaczej. Po pierwsze i najważniejsze, ogranicza to naszą możliwość na oddziaływanie na nich. Z drugiej strony przesadą jest brak wycucia i szturmowanie propagandą oraz agresywną postawą. Dużo skuteczniejszym jest dawanie przykładu udanym i ciekawym życiem oraz stopniowe wprowadzanie innych w gąszcz naszych społeczno-politycznych zagadnień. To dużo skuteczniejsze niż postawa narzekającego frustrata-nieudacznika. Po drugie, zawężanie środowiska socjalnego utrudnia szeroko rozumiany rozwój w życiu, a promuje nadmiar spędzonego czasu w Internecie.

Reasumując, z pewnością jest nad czym pracować. Zachęcam raczej do równowagi w życiu niż ascezy. Inspiracją do napisania tego artykułu był niestety kontakt z ludźmi z szeroko pojętego środowiska narodowego, którzy doszukują się na siłę zagrożeń w różnych sferach życia, które są skomplikowane, wielowymiarowe i bez bardzo dobrego przygotowania, wręcz specjalistycznej wiedzy, trudno w ogóle rozpocząć jakąkolwiek merytoryczną dyskusję jak np. w temacie szczepień. Jednocześnie fundamentalne kwestie ich zdrowia pozostają zaniedbane, a jedyne co dzieli ich od poprawy to twardogłowy sposób myślenia, lęk przed zmianami poprzez ugrzeźnienie w strefie psychicznego komfortu. Towarzyszy temu charakterystyczny element myślenia spiskowego, czy wręcz urojeniowego, jakoby na każdym kroku ktoś czyhał by tylko nas otruć, tymczasem to nie iluminaci są winni za naszą głupotę i bierność ;). Z uwagi na nierozszerzanie poszczególnych zagadnień o kwestie szczegółowe tym razem zabrakło bibliografii, ponieważ wiedza ta jest szeroko spopularyzowana i łatwa do zweryfikowania.

Witomysł Myduj

Jarosław Ostrogniew - Charles Wing Krafft (19.09.1947-12.06.2020): artysta i nacjonalista



Nie trzeba szczególnie interesować się współczesnym światem sztuki, żeby wiedzieć, że jest on zdominowany przez lewicową ideologią. Wśród współczesnych mecenasów (państwowych i prywatnych grantodawców) oraz arbitrów (krytyków i dziennikarzy) prym wiodą liberalni lewicowcy. Większość artystów z przekonania czy ze zwykłego oportunistycznego przyklaskuje lewicowym ideom, żeby pozostać w obiegu. Zdarzają się jednak wyjątki – artyści którzy nie zgadzają się z narzuconym liberalnym światopoglądem. DO najrzadszych przypadków należą ci artyści, którzy nie tylko odrzucają liberalno-lewicowe idee, ale również otwarcie stoją po stronie nacjonalizmu, a ich prace są na tyle dobre, że establishment nie jest w stanie ich przemilczeć. Jednym z takich godnych najwyższego szacunku i uznania wyjątków był zmarły niedawno amerykański artysta Charles Wing Krafft. W tym eseju przedstawię pokrótce jego życie i twórczość, a także jego zaangażowanie w ruch nacjonalistyczny.

Charles Wing Krafft urodził się 19.09.1947 w Seattle w stanie Washington w Stanach Zjednoczonych. Seattle stanowi jedno z epicentrów amerykańskiego lewactwa, ale także jeden z najważniejszych punktów na mapie amerykańskiego „art worldu”. Charles Krafft wychował się w zamożnej rodzinie z klasy średniej, co w sumie brzmi jak początek biografii większości amerykańskich współczesnych artystów. Z powodu jego lekceważącego stosunku do nauki, rodzice przenieśli go do kolejnych szkół, a gdy w końcu skończył liceum, wyjechał do Kalifornii, gdzie zamieszkał u swojej kuzynki Grace Slick (wokalistką słynnego rockowego zespołu Jefferson Airplane, potem Jefferson Starship) i jej męża. Charles Krafft próbował studiować, ale w końcu dał sobie spokój z formalną edukacją. Już wtedy postanowił zostać artystą – na początku myślał o karierze poety, ale w końcu zdecydował się na sztuki plastyczne. Był samoukiem, który technikę poznawał na własną rękę, albo bezpośrednio od bardziej doświadczonych twórców.

Młody Charles Krafft żył zgonie z beatnicko-hippisowskim ideałem – podróżował po amerykańskim Północnym Zachodzie, mieszkał w artystycznych koloniach - czy raczej komunach - wiejskich chatkach. W tamtym czasie wielką inspiracją była dla niego amerykańska szkoła malarska tzw. „Northwest School”. Został uczniem i przyjacielem jednego z jej głównych przedstawicieli – Morrisa Gravesa. To właśnie od niego uczył się nowego spojrzenia na sztukę, które łączyło fascynację przyrodą z poszukiwaniami duchowymi, tradycje wschodu i zachodu, a namysł nad codziennością z refleksją metafizyczną.

Zgodnie z tą amerykańską tradycją lat 60. i 70. Charles Krafft łączył zainteresowanie sztuką z poszukiwaniami duchowymi – zgłębianie filozofii i mistyki było integralną częścią jego twórczości. Zainteresowanie filozofią wschodu spowodowało, że pięć razy odwiedził Indie. Warto zaznaczyć, że w przypadku Charlesa Kraffta nie było to hipisowskie płytkie zafascynowanie wizualną stroną tradycji hinduistycznej i

buddyjskiej czy karmienie się iluzjami o wspaniałym egzotycznym wschodzie. Charles Krafft naprawdę dobrze znał te duchowe tradycje, a dzięki podróżom poznał Indie i mieszkańców tego kraju z bliska, zatem miał bardzo głęboki oraz realistyczny ogląd tej części świata.

W latach 70. i 80. Charles Krafft budował swoją pozycję malarza i był coraz bardziej znany w lokalnym świecie artystycznym. Zrozumiał jednak wtedy, że na tym obszarze sztuki (czyli w malarstwie) raczej nie uda się mu przebić dalej. W jego twórczości nastąpił wówczas przełom i zwrócenie się wobec nowego medium (ceramiki), nowej estetyki (sztuka popularna) oraz nowej tematyki (transgresja). Duży wpływ na tę decyzję miały jego kontakty z amerykańskim artystą Von Dutchem oraz ze słoweńskim zespołem Laibach i grupą Neue Slowenische Kunst (NSK).

Von Dutch (właściwie: Kenneth Howard) był jednym z najważniejszych amerykańskich artystów „użytkowych”, który specjalizował się w ręcznym dekorowaniu samochodów typu „hot rod” oraz motocykli. Charles Krafft nawiązał z nim kontakt i był zaskoczony tym, że istnieje cały ogromny świat sztuki użytkowej, który posiada nie tylko swoją własną wyjątkową estetykę, ale też funkcjonuje całkowicie na marginesie i niezależnie od oficjalnego świata sztuki – co więcej, artyści tworzący w ramach tego nurtu reprezentują naprawdę wysoki poziom techniczny, ich prace mają ogromne wzięcie, a cały ten nurt ma wielkie uznanie wśród licznych fanów. To wpłynęło na decyzję Kraffta przede wszystkim w kwestii zmiany estetyki swoich prac na bardziej klasyczną, zbliżoną do stereotypowego „gustu prostego człowieka”, a także na przerwanie się na nowe medium, które umożliwi tworzenie przedmiotów użytkowych – wybór padł na ceramikę. (Na marginesie warto zaznaczyć, że sam Von Dutch był również nacjonalistą, aczkolwiek w bardziej szokującym i ekscentrycznym wydaniu niż Krafft). Zgodnie ze swoją metodą samouctwa Charles Krafft znalazł lokalną grupę, która zajmowała się tworzeniem tradycyjnej ceramiki, dołączył do niej i nauczył się właściwie od zera technicznej strony tego medium, które następnie wykorzystał do

realizacji autorskich projektów.

Kontakt Kraffta z Laibach i NSK wpłynął przede wszystkim na jego decyzję o zmianie tematyki swoich prac – na poruszanie wątków społecznych, a przede wszystkim na odwoływanie się do stylistyki i tematyki totalitarnej oraz dążenia do transgresji – przełamywania społecznych tabu związanych z określonymi postaciami i ideami. I tak jak do poprzedniej tematyki czyli poszukiwań duchowych w tradycjach wschodu i zachodu, Krafft do tych nowych „niebezpiecznych” idei podszedł również poważnie i rzetelnie. Autentycznie zaczął zgłębiać zakazane we współczesnym świecie idee, co ostatecznie doprowadziło go do zweryfikowania swojego światopoglądu i uznania, że nacjonaści po prostu mieli (i wciąż mają) rację. W 1994 roku Charles Krafft pomógł zorganizować wizytę Laibach i NSK w Seattle, a w 1995 roku udał się do Słowenii, gdzie w ramach grantu miał wykonać „państwową zastawę stołową” dla NSK. Była to wizyta o podwójnym znaczeniu, która z jednej strony pomogła mu ugruntować swoją pozycję jako oryginalnego artysty, a z drugiej pomogła mu z pierwszej ręki zdobyć informację na temat europejskich nacjonalizmów. Co jeszcze ciekawsze – grant ten ufundowała Open Society Foundation – tak, fundacja Georga Sorosa.

W Słowenii Charles Krafft został od razu mianowany oficjalnym fotografem Laibach i pojechał z nimi w słynną Occupied Europe: Nato Tour, w ramach której zespół zagrał koncert w zniszczonym w czasie wojny Sarajewie. W czasie tej wizyty artysta wpadł na kolejne pomysły, między innymi stworzenia z porcelany kolekcji „broni”, która na życzenie słoweńskiej armii została oficjalnie zaprezentowana w jej kwaterze głównej w 1997 roku. W czasie swojej podróży przez Europę Wschodnią Charles Krafft spotkał się między innymi z bratem Corneliu Codreanu, co zaowocowało jego autentyczną fascynacją Żelazną Gwardią i jej duchowym przywódcą, którą uznał za pozytywny przykład politycznego idealizmu, obłudnie oczerniany przez wrogów. Gdyby biedny George Soros wiedział, na co zostały spożytkowane jego fundusze...

Najbardziej znane projekty artystyczne Charlesa Kraffta to „disasterware”, wspomniana porcelanowa broń, a także przedmioty użytkowe z podobiznami „złych ludzi”. „Disasterware” (zastawa nieszczęścia) to cykl porcelan upamiętniających takie katastrofy z historii jak bombardowanie Hiroszimy czy Drezna. Artysta wpadł na ten pomysł całkiem przypadkiem, gdy jedna z jego prac, które wysłał w formie prezentu do Von Dutcha, została uszkodzona w trakcie transportu. Porcelanowa broń to po prostu wierne odtworzenia w porcelanie różnych pistoletów czy karabinów – ale ozdobionych tak jak tradycyjna ceramika użytkowa. Z kolei seria przedmiotów użytkowych z podobiznami kontrowersyjnych postaci (na przykład termofor w kształcie Aleistera Crowleya, czy imbryki w kształcie Adolfa Hitlera i Charlesa Mansona) dzięki swojej oryginalnej formie oraz kontrowersji, które wywołały, przyniosły ogromne uznanie wśród współczesnego świata sztuki, w którym wszelkie działania transgresywne przyciągają szczególną uwagę. Krafft stał się wtedy autentycznie znany i uznany, chociaż nie bez zastrzeżeń, bo jednak ten Hitler... Był to również element realizacji jednego z głównych projektów Charlesa Kraffta – wprowadzenia medium ceramiki do świata sztuki współczesnej.

Charles Krafft od zawsze był bardzo otwarty na wszystkie idee, w tym również na te spoza mainstreamu, niezależnie z której strony pochodziły. Jednak od swojej wizyty w Europie w latach 90., był coraz bardziej zainteresowany ideami nacjonalistycznymi i prawicowymi. Im więcej o nich czytał, tym bardziej był przekonany o ich słuszności i zaczynał rozumieć, że są one wyklęte, ponieważ stanowią jedyną alternatywę dla istniejącego systemu. Utrzymywał kontakty z amerykańskimi białymi nacjonalistami, brał udział w konferencjach najpierw z pozycji obserwatora, a następnie zaczął na nich sam zabierać głos. Oczywiście przyciągnęło to uwagę establishmentu. W 2013 roku jedna z mainstreamowych gazet opublikowała pamflet wymierzony w tego wybitnego artystę, po którym Krafft trafił na listę „twórców niemile

widzianych”. Wtedy też pokazał wartość swojego charakteru – zamiast wycofać się, przeprosić, czy błagać o wybaczenie, zaczął publicznie bronić swoich tez i podwoił swoje zaangażowanie w ruch nacjonalistyczny. Był na tyle znanym i uznanym artystą, że nie można go było uciszyć, a z drugiej strony na pewno z powodu swoich poglądów stracił wiele nagród, kontraktów czy wystaw. Jednak w momencie próby nie cofnął się i gdy musiał wybrać między ideami i poklaskiem salonu – wybrał wierność idei.

Charles Krafft wykorzystywał wątki nacjonalistyczne w swoich pracach nie tylko po to, aby szokować odbiorców (jak w przypadku „hitlerowskiego imbryka”). Wspierał innych nacjonalistów również poprzez swoją sztukę, jak wtedy gdy użyczył zdjęcie swojego dzieła na okładkę tomiku poetki Juleigh Howard-Hobson, lub gdy stworzył talerz upamiętniający Francisa Parkera Yockey’ego, czy stworzył popiersie H.P. Lovecrafta, które jest statuettką nagrody literackiej imienia tego autora.

Niestety nie miałem okazji osobiście poznać Charlesa Kraffta, jednak ludzie, którzy go znali, a zwłaszcza jego prawdziwi przyjaciele – nacjonaści, zgodnie potwierdzają, że był wyjątkowo pogodnym i sympatycznym człowiekiem. Jego szczerść i dobroduszość były czasem źródłem problemów i były cynicznie wykorzystywane przez jego wrogów, zwłaszcza przez trzeciorzędnych dziennikarzy, zazdrosnych o jego talent i osiągnięcia, którzy poprzez udział w oszczerczej kampanii przeciw temu artyście próbowali budować swoją karierę.

Pomimo swoich związków z kontrkulturą i środowiskiem „okołohipisowskim” Charles Krafft nie popadł nigdy w takie problemy jak inni artyści z tych kręgów. Nie uzależnił się od narkotyków, a kiedy zaczął mieć problemy z alkoholem – po prostu przestał pić i wytrzymał w tym postanowieniu. Przez całe życie utrzymywał też dużą dyscyplinę finansową, dzięki czemu nigdy nie popadł w poważne problemy finansowe. Był też uparty i pracowity, dzięki czemu był w stanie

doskonale opanować wybrane techniki artystyczne, a potem realizować do końca zaplanowane projekty artystyczne.

Charles Krafft zmarł na złośliwy nowotwór mózgu 12.06.2020. Był nie tylko wybitnym współczesnym artystą, ale także szczerym i oddanym nacionalistą. Nasi wrogowie często zarzucają nam, że nacjonalizm jest ideologią dla małych ludzi o wąskich horyzontach. Charles Krafft był wielkim człowiekiem, który dotarł do idei nacjonalistycznej dzięki swoim szerokim horyzontom, otwarciu na świat i odwadze myślenia inaczej niż większość.

Osobom zainteresowanym życiem i twórczością Charlesa Kraffta polecam następujące artykuły i filmy:

Greg Johnson, Remembering Charles Wing Krafft:

September 19, 1947–June 12, 2020, <https://www.counter-currents.com/2020/06/remembering-charles-wing-krafft/>

Greg Johnson, The Persecution of Charles Krafft, <https://www.counter-currents.com/2013/02/the-persecution-of-charles-krafft/>

Wywiady z Charlesem Krafftem:

<https://www.counter-currents.com/2012/04/interview-with-charles-krafft-part-1/>

<https://www.counter-currents.com/2013/03/interview-with-charles-krafft/>

Filmy o artyście i jego twórczości:

<https://www.youtube.com/watch?v=oWANJ8EV3jM>

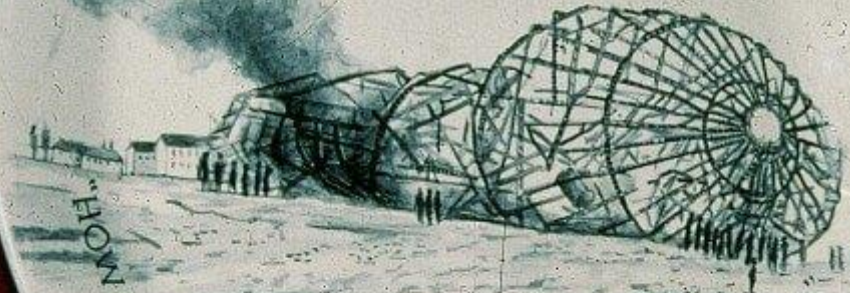
<https://www.youtube.com/watch?v=PX1oVqvzMA>

<https://youtu.be/qo7I6qikGko>

Jarosław Ostrogniew



Hindenburg



"HOW GENTLE TO TRUE LOVERS WAS THIS ROSE OF IRON"

KRAFFT 52

Patryk Płokita - Bushido - dusza Japonii, recenzja książki

Bushido - dusza Japonii, recenzja książki

We wstępie tej recenzji napiszę, że książka jest przyjemna w czytaniu. Pomimo archaicznego języka, czyta się ją bardzo dobrze. Mankamentem dla czytelnika może być to, że pewne pojęcia japońskie, nie mające polskiego odpowiednika, nie są tłumaczone. Oprócz tego, osoba znająca kontekst historyczny, jeśli zna datę wydania książki, 1900 rok, dojść może do większych rozważań nad tą pozycją. To tyle w ramach wstępu w tej krótkiej recenzji, w ramach czasopisma Szturm. Przechodzimy do szerszego omawiania.

W tym akapicie, jako wprowadzenie do tematyki, poruszone zostaną związki japońskiego oręza z polskim, o których wspomina Inazo Nitobe, w przedmowie do polskiego wydania, w 1904 roku. Autor kładzie bardzo duży nacisk w porównaniach. Bardzo dobrze zostało to uwypuklone w kwestii honoru i wierności ideałom. To autor uważa za cechę wspólną polskiego i japońskiego etnosu. Oprócz tego uważa również, że przekazanie wiedzy na temat mentalności Japończyków, i samego kodeksu bushido, nie będzie problemem dla polskiego czytelnika. Polski odbiorca nie powinien mieć problemu z interpretacją znaczeniową, ponieważ w dalszej części książki także dokonuje porównań do szeroko rozumianej kultury oraz spuścizny cywilizacji rozwijających się w Europie. Dla przykładu „daymo” (pan feudalny) zestawiony jest z „kasztelanem”. Bardzo dobry zamysł zrealizowany w narracji przez Inazo Nitobe. Oprócz tego dodać warto, iż książka posiada obszerne przypisy.

Co do archaicznego języka, bardzo często, wymiennie, autor zestawia słowa "lud, rasa, nacja, naród, społeczność, duch narodu". Wynika to prawdopodobnie z tego, że autor powyższej publikacji pisał ją bezpośrednio do odbiorcy. Miały być to narody związane z anglojęzyczną formą komunikacji. Autor "kodeksu bushido, dusza Japonii" opracował pewną strategię w narracji. Język angielski łatwiej było przenieść na inne języki, w kręgu "białych Indoeuropejczyków" (znowu rasizm, faszyzm, homofobia?) niż przetłumaczyć to na język niemiecki, czy rosyjski.

Tutaj dygresja od autora tej recenzji. Zapewne samo określenie "rasa" tworzy burzę mózgow pośród lewaków. Zapewne kojarzy się już to też z Hitlerem... O zgrozo! Niestety, drodzy oponenti polityczni, działo się to 30 lat przed przejściem władzy przez Adolfa w Republice Weimarskiej. Określenie "rasa", stosowano nagminnie i wymiennie jak "lud" czy "naród", zwłaszcza pośród narodów Europy zachodniej, na przełomie XIX i XX wieku. Niestety, tak wygląda prawda historyczna, a zaginanie jej to już czyste budowanie propagandy pod dogmaty i ideologię. To tyle w ramach dygresji.

Wróćmy w tym miejscu do recenzji omawianej pozycji. Budowana narracja w owej książce buduje wyobraźnię u czytelnika. Inazo Nitobe pisał zwięźle, konkretnie i na temat. Obawiałem się, iż książka będzie odebrana jako forma broszury, jednak się tak nie stało. Mam zupełnie odmienne wrażenie. Bardziej omawiana pozycja to mocna synteza, stworzona przez Japończyka dla Europejczyka. Oprócz tego warto dodać, że współczesne Polskie wydanie a4 ma 125 stron, a cena jest przystępna dla czytelnika w obecnym systemie, jaki mamy w kraju nad Wisłą.

Warto przejść do treści. Z recenzowanej pozycji, dowiemy się o tym,

m.in., że samuraj oprócz umiejętności bojowych musiał pisać poezję, grać na instrumencie, czytać książki, medytować, wyciszać umysł oraz zmysły. Oprócz tego powinien być konkretny w działaniu, aby być szczęśliwym nawet, kiedy umiera w słusznej sprawie. Ponadto kierował się on specyficzną etykietą, wynikającą z niespisanego kodeksu bushido. O tym ostatnim również wspomina autor. Wielokrotnie w czasie prowadzonej narracji uwypukla obraz, że przy minimalnym zasobie pisanych źródeł historycznych, jest w stanie opisać to zjawisko społeczne. Jako czytelnik nie mam do tego zastrzeżeń. Wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że udało się to osiągnąć.

W tym akapicie skupimy się na przedstawieniu innej treści, wynikającej z recenzowanej pozycji. Inazo Nitobe, dzięki swojej prowadzonej narracji, daje dla czytelnika mocną dawkę wiedzy na temat klasy samurajów. Pojęcia takie jak honor, wierność, wychowanie, opisywanie procesu powstania katany, oddawanie czci przez wojowników dla wspomnianego oręża, to tylko przykłady. Oprócz tego, w dobry sposób zostało zobrazowane i przemycone to dla europejskiego odbiorcy, pomimo tylu lat od daty pierwszego wydania! Ponadto, w ciekawy sposób prowadzona jest narracja w kwestii kobiet. Okazuje się, że były przeszkolone np. w posługiwaniu się włócznią o nazwie naginata, głównie do samoobrony domostw. Autor często przytacza neologizmy takie jak "amazońskość" i "gospodarność", jako dwie cechy, którymi kieruje się kobiety z klasy samurajów, kierujące się kodeksem bushido. Dość ciekawa "wisienka na torcie", w tym zestawieniu, w omawianej publikacji.

Warto dodać, że autor bardzo często podczas prowadzonej narracji, cytuje Pismo Święte. Opowiada jak nawrócił się na chrześcijaństwo. Porównuje kodeks Bushido do nauki Chrystusa. Widać odczytanie autora i posiadaną wiedzę. Cytuję m.in. Karola Marksa, albo wypowiedzi Bismarcka. W formie anegdot i przypowieści robi porównania postaci z

czasów starożytnych. Przykładem w tym miejscu Konfucjusz czy Sokrates. Oprócz tego dojść można do wniosku, że narrator posiada umiejętność obrazowania i przekazywania informacji na temat swojego etnosu, aby cały świat go poznał i dokładnie w przeprowadzonej analizie go zrozumiał.

Na pewnym etapie czytania książki, narrator skupia się na opisanu "etykiety japońskiej", często przyrównując ją do dżentelmeństwa z etykiety brytyjskiej. Momentami wygląda to groteskowo, jednakże wyjaśnienia autora dają jasno do zrozumienia i udowadniają, że owa etykieta japońska na oparciu Kodeksu Bushido, klasy samurajów, funkcjonuje w etnosie japońskim. Po prostu jest elementem uduchowionej społeczności, która jest wypadkową i ostatecznym uzupełnieniem kodeksu bushido wśród Japończyków.

Wiele elementów z książki pasuje do współczesnych Japończyków, biorąc pod uwagę mój wyjazd w listopadzie 2019 roku i doświadczenie japońskiej kultury, którą widziałem w Tokio, Kawasaki czy Kamakurze. Widoczne jest to chociażby w okazywaniu emocji na twarzy. Inna zbieżność to nieśmiałość, częste określenie stosowane wobec Japończyków, co nie do końca zawsze jest nieśmiałością, a wychowaniem i etykietą opartą na Bushido. Więcej dowiedzie się w recenzowanej pozycji. Inazo Nitobe zrobił to w genialny sposób!

Zapewne ludzie związani z kręgiem europejskim, będą zainteresowani rytualnym samobójstwem. Określa się je w języku japońskim mianem „seppuku”. Oprócz wyjaśnienia tego zjawiska społecznego, opartym na omawianym przez Inazo Nitobe kodeksie honorowym, autor skupia się na szerszym zobrazowaniu tego „rytualnego samobójstwa”. Trzeba pamiętać, że autor pisał to już po wojnie Boshin (1868-1869), kiedy to

okres Edo odchodził w zapomnienie. Nadchodziła restauracja cesarstwa. Okres Meiji. W tym czasie właśnie pisał Inazo Nitobe. W erze nadchodzących zmian, industrializacji, westernizacji i przyswajania nowej technologii, aby Japonia nie została podbita, w sposób kolonialny, jak np. Chiny czy Indie.

Tutaj kolejna dygresja. Ciekawe jest to w historii Japonii, że mały wyspiarski kraj dogonił w około 40 lat technologię, a zachował kulturę i tradycję bez zmian. Japonia dorównywała ówczesnemu „zachodniemu światu”. A argumentem potwierdzającym tą tezę jest wojna rosyjsko-japońska z lat 1904-1905. Podobne podejście, widać i obecnie w Japonii.

To tyle w kwestii chwaleń omawianej pozycji. Czas przejść jako autor tej recenzji do kwestii: „co mi się nie podobało w tej książce”? Po pierwsze, była ona zbyt krótka. Po drugie, bez wyjaśnienia pewnych pojęć z języka japońskiego, trzeba sięgać często do wyjaśnień przy pomocy „wujka google”. Trzeci punkt, w subiektywnym tego słowa znaczeniu, bo mi osobiście to nie przeszkadzało. Wydaje się jednak, iż osoba nie lubiąca „naukowego języka” może się „zrazić i zmęczyć” na początku, a wydaje się to niepotrzebne u czytelnika. Tak w tej książce są czasem grupę przypisy, aby zrozumieć ją pełni. Bez przypisów prawdopodobnie nie zrozumiesz treści tej książki.

W słowie końcowym, ocena. Książka za tematykę dostaje 8 na 10 punktów. Polecam ją każdemu kto interesuje się historią kraju kwitnącej wiśni, albo kulturą Imperium Wschodzącego Słońca. Pomimo momentów, gdzie język jest archaiczny, można w przyjemny sposób poszerzyć wiedzę na temat jednej z najstarszej żyjącej i istniejącej cywilizacji na tej planecie. Polecam gorąco.

Patryk Paweł Płokita

Maksymilian Ratajski - Czego nas uczy Obóz świętych?

Zmarły niedawno Jean Raspail pozostawił po sobie książkę proroczą. Wydany po raz pierwszy w 1973 roku „Obóz świętych” opowiada o upadku Europy białego człowieka. Praktycznie nie ma w nim walki, jest tylko haniebna kapitulacja i dezercja – najpierw radosna, w imię równości, fałszywie pojmowanego miłosierdzia, braterstwa wszystkich ludzi, później już tylko paniczna, pełna rezygnacji, pogodzenia się z losem.

Milion imigrantów, którzy na statkach wyruszyli z Indii stanowi dla Raspaila tylko tło, pretekst do snucia opowieści o upadku europejskich społeczeństw. Autora szczególnie interesują media i ich wpływ na ludzi. Imigranci ruszyli do Europy natchnieni przez mieszkającego w Kalkucie ateistycznego filozofa Ballana i kilku innych białych. Sam Ballan nie zobaczył efektów swoich działań – zginął w porcie stratowany przez wsiadający na statki tłum. Pozostali biali, którzy razem z nim agitowali w Kalkucie zostali zabici i wyrzuceni ze statków przed przybiciem do brzegów Europy. Znamienne jest, że śmierć Białej Europy dokona się w Wielkanoc.

Obóz świętych to jedna z najbardziej antyklerykalnych książek jakie w życiu przeczytałem – powstał krótko po Soborze Watykańskim II i reformie liturgicznej. Jean Raspail był katolickim tradycjonalistą. Katolickie duchowieństwo jest w powieści zjadane przez liberalizm, księża i biskupi bardziej przypominają hippisów niż kapłanów Chrystusa. Książka powstała niemal pół wieku temu – nie ma w niej Internetu, największe medialne gwiazdy pracują w radio, istnieje ZSRR, a w RPA wciąż trwa apartheid, stąd też bardzo przypominający Franciszka papież nosi imię... Benedykt XVI.

Kluczową rolę w powieści odgrywają dziennikarze. To Clement Dio i Boris Vilsberg zabijają Francję i Europę, nie olbrzymi koprofig i jego upiorny syn-totem, którzy prowadzą flotyllę. Biały Człowiek popełnia samobójstwo, najpierw kiedy wyrzeka się swej tożsamości i zastanawia w jaki sposób najlepiej przyjąć tych biednych imigrantów (czy to nam czegoś nie przypomina?), potępiając wszelkie odruchy samozachowawcze jako najcięższą ze zbrodni – rasizm. Nastroje zwykłego ludu i to jak jest on urabiany przez dziennikarzy i celebrytów ukazują postaci Marcela i Josiane. Kiedy najazd jest już oczywisty, następuje panika i ucieczka z południa kraju, a wszędzie indziej bierne poddanie się. Ciekawym wątkiem jest też napływ na wybrzeże ideowych lewaków (w tym niestety dużej ilości katolickich księży), którzy postanawiają przyjąć od dawna wyczekiwanych imigrantów. Przynajmniej oni, a zwłaszcza Clement Dio, wiedzą czego tak naprawdę chcą.

Politycy zajmują się błazenadą, prześcigają się w zapewnieniach o pomocy dla „armady ostatniej szansy”. Zagrożenie widzą jedynie dwaj – prezydent i sekretarz stanu Perret. Jednak brak im energii, woli realnego działania, są bierni, pogodzeni z losem. Ostatecznie prezydent przyznaje Perretowi specjalne uprawnienia – media ochrzczą go „gauleiterem Południa”. W orędziu do narodu głowa państwa łamie się, chciał wezwać do walki, dodać obywatelom otuchy, żołnierzom przypomnieć o obowiązku obrony ojczyzny. Tymczasem przemówienie zakończył łamiącym się głosem:

„....Chodzi tu o pewną okrutną misję, co do której oczekuję, że każdy żołnierz, każdy policjant, każdy oficer sam najpierw ją oceni, jako wolny człowiek, a potem zaakceptuje jej wykonanie albo odmówi jej wypełnienia. Trudno jest zabijać. Jeszcze trudniej wiedzieć, dlaczego się zabija. Ja wiem, ale nie trzymam palca na spuście i nie mam przed sobą, kilka metrów od lufy, tych nieszczęśników. Moi drodzy rodacy, cokolwiek się stanie, niech bóg ma nas w swej pieczy... albo niech nam wybaczy”.

Naprawdę trudno się dziwić, że po takim przemówieniu z resztek i tak już zdemoralizowanej armii zostało jedynie 3 oficerów i ośmiu żołnierzy. Naprawdę trudno nie zdezerterować, jeżeli od miesięcy było się karmionym propagandą o „flotyli ostatniej szansy”, wszak „wszyscy jesteśmy ludźmi znad Gangesu”, a kiedy w końcu przyszły rozkazy traktowania ich jak najeźdźcy, to głowa państwa załamuje się kilka godzin przed ostatecznym starciem. I usprawiedliwia każdego kto rzuci karabin.

Ostatecznie do walki staje dwudziestu straceńców, choć raczej należałoby napisać „decydują się na śmierć z bronią w ręku”, wśród nich są szef sztabu bez armii, wspomniany wcześniej sekretarz stanu, zasymilowany Hindus, kapitan statku, który staranował tonących Hindusów, alfons, prawicowy dziennikarz, profesor literatury, kilku żołnierzy... Oddajmy głos Autorowi i przytoczmy ten krótki apel poległych:

Trzeba uzupełnić: pułkownik Constantin Dragases, szef sztabu generalnego; Jean Perret, sekretarz stanu; Calgues, profesor literatury francuskiej; Jules Machefer, dziennikarz; Luc Notaras, kapitan „Ile de Naxos”; Hamadura, Francuz z Pondichery; księżę d'Uras, sędzia Zakonu Maltańskiego; Sollacaro, właściciel burdelu; Drugi Pułk Pancerny, zwany „Huzarami z Chamborant”, z szefem logistyki i trzema zuchami; pierwszy oddział komandosów morskich, z kapitanem i pięcioma żołnierzami; Crillon i Romegas, z domu Urasów w Vaucluse. W sumie: dwudziestu.

*In memoriam. Przynajmniej o nich ktoś pamięta.
Jean Raspail „Obóz świętych”*

Obóz świętych nie jest nudnym, nadętym manifestem jakiegoś polityka. To pierwszorzędna powieść, którą można polecić każdemu zainteresowanemu dobrą literaturą znajomemu. Raspail snuje ciekawą wielowątkową opowieść pełną humoru, ciętego dowcipu. Jego bohaterowie – Perret, Prezydent, Machefer, Calgues, lewacki

dziennikarz-ideolog Clement Dio – żyją, autentyczny jest dramat ministra Jeana Orelle'a, gdy zaczyna rozumieć, do jakiej tragedii się przyczynił całym swoim życiem. Postacią wzbudzającą sympatię jest „Panama Ranger”, młody lider lewackich bojówek (zdecydowanie bardziej hippis niż antyfiarz), to sprawny organizator, człowiek gotowy do walki, tam gdzie realnie może zginąć – sam idzie przeciwko czołgowi, dla niego hippisowska rewolucja to przede wszystkim dobra zabawa i młodzieńcza przygoda. To także duży plus książki – Raspail potrafi ukazać może nie pozytywną, ale przynajmniej sympatyczną postać po przeciwnej stronie barykady.

Dostępna w CapitalBook książka to lektura obowiązkowa dla każdego nacjonalisty, katolika (a zwłaszcza księdza) czy prawicowca. Brutalna lekcja czym kończy się fałszywe pojmowanie miłosierdzia, pacyfizm i poprawność polityczna. Jednocześnie doskonały obraz tego w jaki sposób działają media (w dzisiejszych czasach rolę gazet przejęły portale internetowe, a stacji radiowych ich telewizyjne odpowiedniki, mechanizmy pozostały jednak te same). Pokazuje czym kończy się zastąpienie tradycyjnej i autentycznej wiary ideologią „dobroludzizmu” i praw człowieka.

Jean Raspail zmarł 13 czerwca, 5 lipca przypadnie 95-ta rocznica jego urodzin. Ten zbieg dat, a także trwający cyrk pod tytułem „Black Lives Matter” będący jakby żywcem wzięty z antyrasistowskiej histerii mediów ukazanej w „Obozie” stanowią doskonałą okazję do przypomnienia najważniejszej książki francuskiego pisarza.

Maksymilian Ratajski

Norbert Wasik - Rola sejmowej komisji śledczej ds. „Amber Gold”

Amber Gold to piramida finansowa stworzona przez Marcina Plichta w 2009 roku. Spółka miała inwestować w złoto i inne kruszce. Kusiała wysokim oprocentowaniem inwestycji - od 6 do nawet 16,5 proc. w skali roku - które znacznie przewyższało oprocentowanie lokat bankowych. W połowie 2011 r. Amber Gold przejęła większościowe udziały w liniach lotniczych Jet Air, następnie w niemieckich OLT Germany, a pod koniec 2011 r. w liniach Yes Airways. Powstała w ten sposób marka OLT Express. Głośno o sytuacji spółki Amber Gold zrobiło się w lipcu 2012 r., kiedy linie OLT Express zaczęły mieć kłopoty finansowe - zawieszono wówczas wszystkie rejsy regularne przewoźnika, a następnie spółka poinformowała, że wycofuje się z inwestycji w linie lotnicze. Linie OLT Express upadłość ogłosiły pod koniec lipca 2012 r., a Amber Gold zbankrutowało w połowie sierpnia 2012 r.

Według ówczesnych śledczych, szef firmy Marcin Plichta i jego żona Katarzyna oszukali w latach 2009-2012 łącznie niemal 19 tys. klientów spółki, doprowadzając ich do niekorzystnego rozporządzenia mieniem w wysokości prawie 851 mln zł. Ciekawym jest, że proces Marcina Plichta i jego żony rozpoczął się dopiero w marcu 2016 roku. Natomiast od września 2016 r. działa sejmowa Komisja śledcza ds. Amber Gold. Co złośliwsi komentatorzy wielokrotnie sugerowali, że głównym powodem działania Komisji ds. Amber Gold była chęć „grillowania” Donalda Tuska. Warto jednak spojrzeć na tę instytucję w nieco szerszym kontekście...

Sejmowe komisje śledcze

Sejmowe komisje śledcze są powoływane w oparciu o ustawę z dnia 21 stycznia 1999 roku o sejmowej komisji śledczej¹. Zgodnie z zapisami art. 1 przywołanego powyżej aktu prawnego, reguluje on tryb działania sejmowej komisji śledczej. Komisje są powoływane do zbadania określonej sprawy². Członków komisji wybiera i odwołuje Sejm bezwzględną większością głosów. W jej skład może wchodzić 11 osób. W teorii skład powinien odzwierciedlać reprezentację w Sejmie klubów i kół poselskich mających swoich przedstawicieli w Konwencie Seniorów, odpowiednio do jej liczebności. Zakres działania komisji określa uchwała o jej powołaniu. Ta sama uchwała może również określać szczegółowe zasady jej działania oraz termin złożenia sprawozdania³.

Ustawa wyłącza z udziału w pracach komisji m.in. tych posłów, których sprawa dotyczy bezpośrednio, jak i w przypadku, gdy istnieje okoliczność, która mogłaby wywołać uzasadnioną wątpliwość co do ich bezstronności w danej sprawie.

Prace komisji są związane zakresem przedmiotowym określonym w uchwale o jej powołaniu⁴. Sam przedmiot działania komisji nie może dotyczyć oceny zgodności orzeczeń sądowych z prawem. Do tego rodzaju aktywności władzy publicznej zostały bowiem powołane inne organy. Pod względem formalnym, komisje na zewnątrz reprezentuje zawsze jej przewodniczący lub z jego upoważnienia zastępca przewodniczącego⁵.

Przed komisję może zostać wezwana każda osoba, która wówczas ma obowiązek stawić się przed nią w wyznaczonym terminie i złożyć zeznania. W przypadku, gdy z powodu choroby, kalectwa lub innej niedającej się pokonać przeszkody, osoba wezwana nie jest w stanie stawić się przed komisją i złożyć zeznania, ustawa dopuszcza

przesłuchanie takiej osoby w miejscu jej pobytu⁶. Z przesłuchania osoby wezwanej przed komisję sporządza się stosowny protokół. Osoba wezwana przed komisję może między innymi uchylić się od odpowiedzi na pytanie, jeżeli jej udzielenie mogłoby narazić osobę wezwaną lub osobę dla niej najbliższą (w rozumieniu art. 115 § 11 Kodeksu karnego) na odpowiedzialność za przestępstwo lub przestępstwo skarbowe. Wezwany może także odmówić składania zeznań, gdy jest osobą podejrzaną o popełnienie przestępstwa pozostającego w ścisłym związku z czynem stanowiącym przedmiot postępowania albo gdy za to przestępstwo została skazana. Zeznający ma również prawo żądania, aby przesłuchano go na posiedzeniu zamkniętym, jeżeli treść zeznań mogłaby narazić na hańbę osobę wezwaną lub osobę dla niej najbliższą. Stawiającemu się przed komisją śledczą przysługuje również prawo odmowy zeznań co do okoliczności, na które rozciąga się ciężący na osobie wezwanej obowiązek zachowania tajemnicy ustawowo chronionej, w przypadkach określonych w innych przepisach, czy zgłoszenia wniosku o zarządzenie przerwy w posiedzeniu, jak i się z wnioskiem o zmianę terminu przesłuchania oraz umożliwienia swobodnego wypowiedzenia się w objętej przesłuchaniem sprawie⁷.

Komisja, przystępując do przesłuchania osoby wezwanej uprzedza wezwanego o odpowiedzialności karnej za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy i odbiera od niej przyrzeczenie (przy czym osoby nieme lub głuche składają przyrzeczenie przez podpisanie samego tekstu przyrzeczenia), poniższej treści:

"Świadomy/Świadoma znaczenia moich słów i odpowiedzialności przed prawem przyrzekam uroczyście, że będę mówił/mówiła szczerą prawdę, niczego nie ukrywając z tego, co mi jest wiadome".

Komisja posiada również pewne środki przymusu w stosunku do osób uporczywie uchylających się od stawiennictwa przed nią, bowiem w

przypadku gdy osoba wezwana przed komisję bez usprawiedliwienia nie stawi się na jej wezwanie, bez zezwolenia oddali się z miejsca czynności przed jej zakończeniem albo bezpodstawnie uchyli się od złożenia zeznań lub złożenia przyrzeczenia, komisja może zwrócić się do Sądu Okręgowego w Warszawie z wnioskiem o zastosowanie kary porządkowej⁸.

Jednym z istotnych elementów funkcjonowania komisji śledczych jest udział w nich środków masowego przekazu, bowiem komisja może zezwolić przedstawicielom prasy, w rozumieniu przepisów ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. Prawo prasowe, na dokonywanie za pomocą aparatury, utrwalenia obrazu lub dźwięku z jej posiedzenia, gdy przemawia za tym interes publiczny. Dokonywanie czynności przez przedstawicieli mediów nie może jednak utrudniać przebiegu posiedzenia, a ważny interes osoby wezwanej nie sprzeciwia się temu.

Ze swojej działalności komisja śledcza sporządza sprawozdanie, zawierające jej stanowisko określone w uchwale ją powołującej. Wcześniej, Przewodniczący komisji sporządza projekt sprawozdania i przedkłada go komisji, której członkowie mogą zgłaszać swoje poprawki w formie pisemnej⁹. Stanowisko komisji jest przedstawiane na posiedzeniu Sejmu przez wybranego z jej składu, posła sprawozdawcę. Sejm nie przeprowadza w zakresie ewentualnego przyjęcia lub odrzucenia sprawozdania, głosowania.

Komisji śledcza ds. „Amber Gold”

W minionej kadencji Sejmu najbardziej znane były dwie funkcjonujące sejmowe komisje, których działalność wciąż obserwowana była przez społeczeństwo i śledzona przez różne media, a mianowicie: Sejmowa

komisja śledcza ds. „Amber Gold” oraz Sejmowa komisja śledcza ds. weryfikacji reprivatyzacji Miasta Stołecznego Warszawy.

Komisja śledcza ds. „Amber Gold” powołana została na podstawie art. 111 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej oraz art. 1 i art. 2 ustawy z dnia 21 stycznia 1999 r. o sejmowej komisji śledczej, uchwałą Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 19 lipca 2016 r. w sprawie powołania Komisji Śledczej do zbadania prawidłowości i legalności działań organów i instytucji publicznych wobec podmiotów wchodzących w skład Grupy „Amber Gold”. Zgodnie z uchwałą sejmową zadaniem samej komisji i jej członków jest zbadania prawidłowości i legalności działań organów i instytucji publicznych wobec podmiotów wchodzących w skład „Grupy Amber Gold”¹⁰. Grupę Amber Gold stanowiły: Amber Gold Spółka z o.o. z siedzibą w Gdańsku (wcześniej Salony Finansowe EX Spółka z o.o., Grupa Inwestycyjna EX Spółka z o.o.), Amber Gold Invest Spółka z o.o. z siedzibą w Gdańsku, Amber Gold Usługi Spółka z o.o. z siedzibą w Gdańsku, Amber Gold Obsługa Spółka z o.o. z siedzibą w Gdańsku, Fundusz Poręczeniowy AG Spółka z o.o. z siedzibą w Gdańsku, Amber Gold S.A. z siedzibą w Gdańsku, PST S.A. z siedzibą w Gdańsku, OLT Express Spółka z o.o. z siedzibą w Gdańsku, OLT Express Poland Spółka z o.o. z siedzibą w Warszawie, OLT Express Regional Spółka z o.o. z siedzibą w Gdańsku oraz OLT Cafe Spółka z o.o. z siedzibą w Gdańsku. Jak zatem widać komisja, pod względem podmiotowym miała bardzo obszerne pole do zbadania. Do zakresu zaś działania samej komisji, w myśl podjętej uchwały należało zbadanie i ocena prawidłowości i legalności działań podejmowanych w odniesieniu do działalności prowadzonej przez podmioty wchodzące w skład tej grupy przez m.in. członków Rady Ministrów, w szczególności Ministra Finansów, Ministra Gospodarki, Ministra Infrastruktury (Ministra Transportu, Budownictwa i Gospodarki Morskiej), Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji (Ministra Spraw Wewnętrznych), Ministra Sprawiedliwości i podległych im funkcjonariuszy publicznych, jak również Prezesa Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, Generalnego Inspektora Informacji

Finansowej, Prezesa Urzędu Lotnictwa Cywilnego i podległych im 2 funkcjonariuszy publicznych, właściwych rzeczowo i miejscowo urzędów skarbowych, izb skarbowych oraz urzędów kontroli skarbowej, poza tym prokuraturę oraz organy powołane do ścigania przestępstw, w szczególności Szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego oraz Komendanta Głównego Policji¹¹.

Drugim ważnym dokumentem sejmowym i jednocześnie źródłem informacji o funkcjonowaniu tej komisji jest kolejna uchwała, a mianowicie z dnia 22 lipca 2016 r. w sprawie wyboru jej składu osobowego. Zgodnie z tym aktem w skład komisji wchodził następujący posłowie: Krzysztof Brejza (PO), Paweł Grabowski (Kukiz 15), Joanna Kopcińska (PiS), Jarosław Krajewski (PiS), Andżelika Możdżanowska (PSL), Stanisław Pięta (PiS), Marek Suski (PiS), Małgorzata Wassermann (PiS), i Witold Zembaczyński (Nowoczesna)¹².

Sama Firma „Amber Gold” powstała 27 stycznia 2009 roku w Gdańsku. Założycielem był Marcin Plichta, który jak się później okazało, był uprzednio karany przez polski wymiar sprawiedliwości za różnego rodzaju oszustwa. Nigdy jednak nie trafił za przysłowiowe „kraty” bowiem każdorazowo sądy zawieszały wobec niego warunkowo ich wykonanie. Działalność podmiotu miała skupiać się przede wszystkim na inwestycjach w złoto i w kruszce¹³. „Amber Gold” było również największym udziałowcem linii lotniczych OLT Express, które równie szybko i z wielkim rozmachem oraz olbrzymimi nakładami finansowymi na reklamę powstały, żeby krótko potem upaść.

Firma „Amber Gold”, jak się później okazało należała do „przedsiębiorstw” typu tzw. piramid finansowych. Kusila swoich klientów wielkimi zyskami w krótkim okresie czasu. Została zlikwidowana we wrześniu 2012 roku, a straty spowodowane jej działalnością przekroczyły,

jak oceniała w roku 2014 prokuratura, kwotę 851 milionów złotych¹⁴. „Amber Gold” uznawała się za pierwszy tzw. dom składowy w Polsce, skupujący i inwestujący w wszelkiego rodzaju metale i kruszce. Wśród ofert firmy znalazły się takie produkty jak lokaty w złoto, srebro, czy platynę. Klienci podpisywali z „Amber Gold” tak zwane umowy składowe, inwestując nierzadko oszczędności swojego życia, ponieważ przedstawiciele podmiotu mamiли ich zyskami rzędu od 6 nawet do 16,5 %, jak żaden z działających od lat na rynku polskim podmiot, w szczególności bank. Jeszcze w roku 2009 KNF¹⁵ ostrzegła, że „Amber Gold” nie posiada jej zezwolenia na wykonywanie czynności bankowych, w szczególności na przyjmowanie wkładów pieniężnych, a prowadząca w tym zakresie sprawę gdańska prokuratura umorzyła postępowanie. Szybko okazało się, że działalność firmy nie wiele miała wspólnego z prawidłowym i uczciwym funkcjonowaniem podmiotu na rynku. Po zainwestowaniu przez „Amber Gold” w linie lotnicze i powołanie spółki OLT Express, na jaw wychodzić zaczęły sprawy związane z prawdopodobnym tzw. „praniem pieniędzy”, a kłopoty firmy „Amber Gold” wieściły bliski jej koniec. Zaczęto zamykać biura firmy w różnych punktach, a zdesperowani inwestorzy próbowali bezskutecznie odzyskać swoje wkłady, pomimo deklaracji Marcina Plichty, o możliwości szybkiego odzyskania wkładów. W roku 2012 sąd ogłosił upadłość spółki. Sprawę przejęły stosowne organy państwowe, w tym prokuratura.

Z punktu widzenia tematyki niniejszego zagadnienia, jaki i perspektywy czasu od kiedy Polacy dowiedzieli się o „Amber Gold”, skutkach upadłości i możliwych powiązaniach biznesu z organami państwowymi oraz najważniejszymi osobami w kraju, należy podkreślić, że powołanie sejmowej komisji w tym zakresie było niezbędne i tylko kwestią czasu. Działania organów państwa bowiem od roku 2012 niewiele wносиły do sprawy. Ustalono bowiem kto i w jakim zakresie odpowiadał za zaistniałą sytuację w „Amber Gold”, zatrzymano winnych, osadzono ich w aresztach i wszczęto stosowne postępowania. Jednakże media donosić zaczęły o różnych układach, koneksjach i znajomościach Prezesa firmy oraz jego

bliskich współpracowników z przedstawicielami władzy. Pamiętamy obrazy jakie pojawiały się w telewizji dotyczące pompatycznego otwarcia OLT Express, na których widnieli prominentni wówczas politycy rządzącej partii, w tym nieżyjący Prezydent Gdańska oraz były Prezydent RP. Wreszcie Polskę obiegła również informacja, że wśród pracowników Marcina Plichty był także syn ówczesnego Premiera RP Donalda Tuska, a nieustanne doniesienia prasowe dotyczące tej, o czym wszyscy się już przekonali, piramidy finansowej z polityczno-biznesowym akcentem w tle, coraz bardziej poruszały społeczeństwo. Stopniowo ujawniane okoliczności około towarzyszące funkcjonowaniu i upadłości „Amber Gold”, zaczęły budzić kontrowersje, niechęć i skrajne emocje wśród Polaków. Politycy partii opozycyjnych zadawali coraz więcej pytań i żądali powołania komisji, mającej zbadać tą aferę. Jednakże dopiero po zmianie władzy, w wyniku wyborów parlamentarnych 2015 roku, tj. w roku 2016 Sejm RP powołał w tym celu odpowiedni organ, o którym mowa powyżej w niniejszym artykule.

Wydaje się, że powołanie komisji było konieczne, i to nie tylko dlatego, że takie były oczekiwania opinii publicznej, ale przede wszystkim, że aktywność organów państwowych nie sprostала podejmowanym czynnościom i zadaniom. Działania samej komisji, chociaż nie mają charakteru sankcyjnego, a zmierzają jedynie do ustalenie ewentualnych możliwości powiązań na styku polityka- biznes, wydają się być potrzebne, zwłaszcza w tak skorumpowanym systemie, jakim jest przecież sam w sobie demoliberalizm.. Jak od czasu do czasu donosiły nam media, postępowanie w zakresie działań podejmowanych w stosunku do firmy „Amber Gold”, przez uprawnione chociażby do nadzoru, czy wyjaśnienia sprawy i zobowiązane do tego organy władzy publicznej, same cisnęły na usta różnego rodzaju pytania, na które nie było i właściwie po dziś dzień nie ma odpowiedzi. Dlaczego taki, czy inny urzędnik nie podjął takich, a takich czynności? Czy podjął takie, a nie inne, a jeśli tak to dlaczego takie właśnie działania? To jedne z częściej stawianych znaków zapytania przez ówczesnych członków komisji i śledzących aferę dziennikarzy oraz

społeczeństwo. Jak doszło do wszelkiego rodzaju zaniedbań, czy były one celowe, czy też nie? Komisja, te kwestie między innymi badała i często zadawała wydaje się trafne pytania, na które nie uzyskiwała, lub uzyskiwała nic nie wyjaśniające odpowiedzi. Przykładem mogą być chociażby przesłuchania różnych „wysoko postawionych” urzędników, w tym prokuratorów prowadzących śledztwo, zazwyczaj odpowiadających: „*nie pamiętam*”, „*nie kojarzę takiego faktu*”, „*nie wiem*”.

Te wszystkie okoliczności utwierdzają, jak ważną rolę miała do spełnienia ww. komisja. Od dłuższego czasu widać, że Polacy nie chcą już słabego państwa, które nie jest w stanie, lub nie chce zapobiegać tego typu sytuacjom, godzącym w dobre imię władzy i samych Polaków. Obywatele chcą przede wszystkim uczciwych i mądrych urzędników, których zaangażowanie w powierzone im zadania zawsze będzie priorytetem. Którzy podejmowanymi szybko i w odpowiednim czasie czynnościami, są w stanie zapobiec różnym nieuczciwym działaniom i tragediom życiowym. Tym samym rola tej, jak również innych komisji, jest przeogromna i ma zapewne pokazać nieprawidłowości, które nie powinny nigdy mieć miejsc i które należy wyeliminować. Zadaniem tego podmiotu wydaje się być również rola prewencyjna, taki sygnalizator dla tych wszystkich osób, którym na sercu nie leży dobro wspólne, a jedynie własne, często nieuczciwe zyski. Oczywiście innym problemem jest ludzka naiwność, której emanacją w „Amber Gold”, była wiara w szybkie wzbogacenie się.

Raport komisji śledczej ds. Amber Gold jak w soczewce pokazywał teoretyczne państwo demoliberalne. To był raport o fatalnym stanie państwa w latach 2009-15, który powinien być przestrożą dla osób pełniących funkcje publiczne zarówno wówczas, dzisiaj, jak i w przyszłości. Raport był pełną faktografią zaniedbań, zaniechań, błędów i świadomych uników wysokich funkcjonariuszy publicznych, które

doprowadziły do afery Amber Gold oraz utraty zaufania do instytucji państwa. W samej w ocenie komisji powstanie Amber Gold było efektem słabości państwa, dysfunkcjonalności organów wymiaru sprawiedliwości, systemowych luk prawnych, bierności i pobłażliwości aparatu urzędniczego, a także braku stosowania przepisów prawa przez organy władzy publicznej. Raport wskazywał, że nieprawidłowo działały prokuratury, sądy i kuratorzy sądowi, ponadto komisja jednoznacznie negatywnie oceniła funkcjonowanie aparatu skarbowego wobec Amber Gold, a także służb specjalnych. Inną kwestia zaś pozostaje, że trzyletnie prace komisji nie doprowadziły do niczego przełomowego i odkrywczego. Nie mówiąc już, że karę jak pokazało życie poniosły wyłącznie osoby będące tzw. „słupami”. Sąd Okręgowy w Gdańsku na łączną karę 15 lat więzienia skazał Marcina Plichta - b. szefa Amber Gold. Jego żonie Katarzynie Plichta sąd wymierzył łączną karę 12 i pół roku więzienia. Poza tym sąd orzekł wobec obojga zakaz prowadzenia działalności gospodarczej na okres 10 lat, kary grzywny - 159 tys. zł i 135 tys. zł - oraz obowiązek naprawienia szkody. Do orzeczonych kar więzienia obojgu oskarżonym sąd zaliczył ich kilkuletnie areszty. Osób stojących za nimi, ani sama Komisja ds. „Amber Gold”, ani sam sąd niestety już nie wskazał.

Norbert Wasik – dumny mąż i ojciec. Absolwent Kolegium Jagiellońskiego - Toruńskiej Szkoły Wyższej. Manager związany z sektorem FMCG. Publicysta, działacz społeczny i narodowo-radykalny. Biegacz amator i fan długich dystansów, pasjonat historii, gór, górali i góralszczyzny. Idealista, romantyk i pragmatyk w jednej osobie, entuzjasta innowacji i nowych technologii.

BIBLIOGRAFIA:

1. Dz.U.2016.1024 t.j.
2. Ibidem, art. 1 ust. 2
3. Ibidem, art. 2
4. Ibidem, art. 7
5. Ibidem, art. 10
6. Ibidem, art. 11
7. Ibidem, art. 11c
8. Ibidem, art. 12
9. Ibidem, art. 19a
10. www.sejm.gov.pl [on-line}. Komisja. World Wide Web:
<http://www.sejm.gov.pl/Sejm8.nsf/agent.xsp?symbol=KOMISJA&NrKadencji=8&KodKom=SKAG>
11. Ibidem, strona sejmowa www.sejm.gov.pl
12. Ibidem.
13. www.businessinsider.com.pl [on-line}. Afera Amber Gold. World Wide Web: <https://businessinsider.com.pl/afera-amber-gold>
14. Ibidem.
15. Komisja Nadzoru Finansowego

Oleś Wawrzkowicz - Kontrrewolucja czasów współczesnych

Rapienda rebus in malis praeceps via est.

Seneka Młodszy

(tł.: W nieszczęściu należy obierać drogę ryzykowną)

Czym jest dla nas tzw. ruch Black Lives Matter (BLM)? Dla jednych jest to okazja, żeby jeszcze głośniejszymi głosami wykrzyczeć własne teorie rasowe, dla innych jest to możliwość napisania kilku wulgarnych komentarzy, z drugiej strony znajdują się tacy, którzy będą chcieli zasłynąć jako „ostatni biali wojownicy (Internetu)”. Wszystkie te postawy są parodialne i groteskowe, ponieważ nie zauważają istoty problemu. Oczywiście masowa imigracja niesie ze sobą konflikty na tle kulturowo- społecznym, co powoduje dalekosiężne skutki dla naszego kontynentu. Lecz w tym wypadku mamy do czynienia nie z kolejnym buntem imigrantów, lecz totalną rewolucją ideologiczną. Śmierć Geорга Floyda stała się tylko, długo wyczekiwany, pretekstem aby międzynarodówka marksistowska mogła rozpocząć ostatnią fazę swojej zaplanowanej z pełną perfidią operacji. Demolowanie sklepów, grabieże, to są tylko skutki uboczne, które w obecnej chwili nie są istotne. Bunt zawsze rodzi chaos, a chaos jest ojcem anarchii. Na naszych oczach dokonuje się totalna, rewolucyjna reinterpretacja dotychczasowych pojęć, definicji społecznych, kulturowych i cywilizacyjnych. Zresztą pomyślmy, czy protestujący osobnik o ciemnym kolorze skóry sam z siebie niszczyłby pomnik... Juliusza Cezara, czy Churchilla? Podejrzewam, że w większości przypadków oni nawet nie wiedzą kto to był. Tymczasem rewolucja zawsze potrzebuje pożytecznych idiotów, którzy wykonają za nią całą brudną robotę. I tak mamy w tym przypadku. Aby walec rewolucji mógł toczyć się dalej, trzeba usunąć z jego drogi przeszkody, które go dotychczas spowalniały. Tymi przeszkodami jest nie tylko wiara,

rozumiana jako Kościół Katolicki, ale także nasza tradycja, kultura i cywilizacja. Europa to kontynent ukształtowany przez poezje Homera, wojowników Leonidasa, legiony Juliusza Cezara, imperium Karola Wielkiego, monumentalne katedry, hiszpańskich konkwistadorów i wiele pokoleń dumnych Europejczyków. To wszystko stanowi jedną wielką przeszkodę dla zapędów marksistowskich ideologów, którzy już nie strzelają w tył głowy, lecz począwszy od paryskiego maja 1968 roku z ręcznie uderzają w struny społeczne, poruszając najdelikatniejsze emocje, którymi dyrygują niczym najbardziej wytrawny mistrz batuty. Próby do generalnego koncertu trwały całe lata, aż społeczeństwa Europy i świata zaczęły podążać za dyrygentami, nie baczeni na to, że stali się niewolnikami batuty, która z pozoru wygrywająca piękne utwory, zaczęła hipnotyzować ich...falszywą nutą.

Wyobraźmy sobie kiedy zostaną wymazani z kart historii i przestrzeni publicznej nasi przodkowie? Kiedy zaczną zamykać i burzyć kościoły? Kiedy pod ciężkimi młotami runą ostatnie pozostałości naszej cywilizacji? Co wtedy pozostanie? Czy kręgosłup społeczeństw, będzie w stanie dźwignąć olbrzymią odpowiedzialność, która zostanie nań nałożona? Mur naszej cywilizacji jest rozbierany cegła po cegle. Czy kiedy zabraknie muru oplatającego naszą twierdzę, będziemy w stanie obronić się przed czyhającym na to wrogiem? Wszystko leży w naszych rękach i naszych umysłach. Jeśli nie zboczymy nawet na chwilę w uliczkę ułudy, poddając się zwodniczym teoriom to maszerując twardo naprzód mamy szansę. Jeśli poddamy się modnemu dziś, czczemu internetowemu pieniactwu i nieaktualnym programom- polegniemy.

Nie mamy czasu na ślepą i głupią nienawiść, czy bez opamiętania zadawane ciosy. To bez sensu. Każdy cios który trafi w próżnię jest ze szkodą dla nas a z pożytkiem dla przeciwnika. Przez nierozsądne działania to my tracimy siły i wystawiamy się na ciosy wroga. Naszą bronią jest samodyscyplina, wiedza i opanowanie. Bez tego od razu możemy wywiesić białą flagę, bo nasz wróg tylko czeka, aby nas sprowokować i naszą ślepą nienawiść i nierozsądek skierować z całym impetem przeciwko nam. W tych trudnych czasach kiedy chorujemy na

brak autorytetów i silnych przywódców, każdy z nas jest latarnią dla innych. Zróbmy więc wszystko abyśmy świecili przykładem i opanowaniem, aby to właśnie ku nam przybywali zabłąkani i szukający pomocy ludzie, bo to my, każdy z osobna, jesteśmy twierdzą warowną, która w chwili próby nie ulęknie się wroga i dumnie stawia mu czoła, chociażby miała walczyć do końca, na gruzach naszej cywilizacji.

Oleś Wawrzkowicz

Oleś Wawrzkowicz - Kwestia żydowska w ideologii rumuńskiego nacjonalizmu lat 20-30 XX wieku

Korzeni rumuńskiego antysemityzmu zawartego w ideologii nacjonalistycznej XX wieku możemy szukać w wieku poprzednim i twórczości rumuńskiego poety Mihaia Eminescu, który swoje poglądy względem ludności żydowskiej wyrażał min. we własnej poezji.[1] Eminescu należał do czołowych poetów romantyzmu rumuńskiego i największych poetów rumuńskich w historii. Przez rumuńskiego historyka Nicolae Iorgę został uznany za ojca współczesnego języka rumuńskiego, co w połączeniu z jego konserwatywnymi zapatrywaniami stworzyło z niego ikonę rumuńskiej prawicy.[2] Mamy więc pierwszą podbudowę ideologiczną w formie klasycznej poezji, która poprzez prozę stała się nośną formą ideowego antysemityzmu, który swoje oparcie, a przez to niejako legitymizację, znalazł w literaturze uznanego przez naród wieszczą.[3] Tym co szczególnie widoczne i istotne w pojmowaniu „kwestii żydowskiej” wśród rumuńskiego społeczeństwa był powszechny i popierany przez środowiska intelektualistów program antyżydowski. Do grupy intelektualistów o zapatrywaniach antysemickich można zaliczyć takie osoby jak Emil Cioran[4], Mircea Iorgulescu, Victor Eskenasy, Adrian Marino, Mircea Eliade czy wyżej wspomniany Nicolae Iorga. Wsparcie to zostało rozszerzone o kręgi akademickie, które teorie antysemickie opierały o fundament naukowy tworząc w późniejszym okresie partie nacjonalistyczne, których głównymi postulatami były te antyżydowskie. Do najbardziej znanych postaci tego kręgu należał min. doktor ekonomii i prawnik Alexandru C. Cuza, uważany za jednego z czołowych teoretyków kwestii żydowskiej w Rumunii. Dr. Cuza zorganizował w 1895 roku w Bukareszcie *Alliance Anti-semitique Universelle*, czyli Uniwersalny Sojusz Antysemicki. Sukces i rozgłos jaki zyskał dzięki ww. wydarzeniu

doprowadził do powstania w 1910 roku Partii Narodowo-Demokratycznej, której współzałożycielem był wspomniany już Nicolae Iorga.[5] Tym samym dzięki kadrze uniwersyteckiej postulaty antysemitki wkroczyły w mury wielu rumuńskich uczelni, rozpalając swoim radykalizmem studencką młodzież. Jak się niedługo okaże kolejną cegiełkę mieli dołożyć właśnie uczniowie Cuzy i Iorgi, którzy postulaty antyżydowskie uzupełnią o pobudki religijne oraz bardziej dynamiczne i radykalne postulaty.

Rumuński nacjonalizm jak większość ruchów tego typu ówczesnej Europy szukał także inspiracji w zagranicznych rozwiązaniach. Wśród działaczy rumuńskich widoczny jest wpływ twórcy francuskiej *Action Française* - Charlesa Maurrasa, który stał się twórcą modnego wówczas nacjonalizmu integralnego, któremu nie obce były radykalne hasła antysemitki.[6] Fundamentem na którym Maurras zbudował swój radykalny antysemityzm była tzw. sprawa Dreyfusa, francuskiego oficera pochodzenia żydowskiego, którego oskarżono o szpiegostwo na rzecz Cesarstwa Niemieckiego. Za jednego z głównych wrogów obok komunistów rumuński nacjonalizm uznał „żywiół żydowski”, który według nich dążył do opanowania społeczeństwa rumuńskiego oraz zniszczenia samej Rumunii podporządkowując jej interesy obcym wpływom. Radykalnie w swoich poglądach wyraża się Emile Cioran, który zadaje retoryczne pytanie- Co umie naród rumuński w porównaniu z żydowskim? Gdyby dać Żydom pełną swobodę, jestem pewien, że w niespełna rok zmieniliby nazwę kraju. Tak czy inaczej, muszę wyznać z melancholią, że antysemityzm jest największą pochwałą pod adresem.[7] Według spisu powszechnego przeprowadzonego w 1899 roku Żydzi stanowili około 4,5 % populacji kraju, choć w niektórych miastach Mołdawii przeważali liczebnie nad ludnością rumuńską.[8] Prawo rumuńskie zabraniało Żydom zakupu ziemi, stąd często zwracali się oni ku profesjom dla nich dostępnym, takim jak handel, przemysł oraz sektor usługowy[9], co rodziło z kolei napięcia na linii mieszczanie- Żydzi oraz biedni- Żydzi[10].

Ważnym dla postrzegania „kwestii żydowskiej” przez Rumunów był koniec roku 1917, czyli rewolucja bolszewicka. Zagrożenie komunistyczne, zostało powiązane z obywatelami pochodzenia żydowskiego, których uważano za potencjalnych zdrajców, mogących przejść na stronę wroga, która wraz z forpocztą komunistów zawitałaby u granic „Wielkiej Rumunii”. To właśnie wtedy pojawiło się nowe i popularne w całej Europie pojęcie żydokomuny (Kiedy mówię komunistą, mówię Żyd- Codreanu), które utożsamiało bolszewickie zagrożenie z ludnością żydowską. Jednocześnie szczególnie mocno akcentowany jest w prasie prawicowej odsetek studentów żydowskiego pochodzenia, co nasuwa analogię min. z polskimi postulatami antysemitycznymi lat 20 i 30 XX w. Zarzut ten trafił w Rumunii jednak na podatny grunt, gdyż zyskał poparcie wśród kadry nauczycielskiej, która z kolei w przyszłości zostanie wsparta przez oficerskie kręgi wojskowe.

Nieoczekiwany potwierdzeniem antysemitycznych tez rumuńskich działaczy prawicowych stała się sfabrykowana przez współpracownika Mikołaja II - Matwieja Gołowinskiego, publikacja pt. „Protokoły mędrców Syjonu”, która opisywała wyimaginowane plany osiągnięcia przez Żydów kontroli nad całym światem. Cel tej sfabrykowanej publikacji w zamysłach carskiej Ochrany miał na celu obarczenie społeczności żydowskiej odpowiedzialnością za problemy ówczesnej Rosji. Pierwsze wydanie książkowe datujemy na 1905 rok (w Rumunii przedrukowane w 1923 roku). Od tego czasu stał się on jednym z głównych „argumentów” dla polityki antyżydowskiej lat 20-30 XX w. Faktem nie do przecenienia stała się popularyzacja tej publikacji w Rumunii po rewolucji bolszewickiej, co w zestawieniu z ww. pojęciem żydokomuny stało się jednym z koronnych dowodów na spisek żydowski wymierzony w naród rumuński.

Wraz z rozwojem i popularnością ruchów nacjonalistycznych w całej Europie, na czoło wielu z nowo powstałych partii wysuwali się młodzi liderzy zafascynowani sukcesem włoskiego faszystów. Nie inaczej było w Rumunii, w której uczeń dr. Cuzy- młody Corneliu Zelea Codreanu powołał do życia Legion Michała Archaniola, który oparła się na silnym

fundamencie wiary chrześcijańskiej nowego typu, ponieważ nie określała się jednoznacznie jako katolicka, czy prawosławna, lecz według samego Codreanu starała się w myśl ekumenizmu łączyć wszystkie te odłamy. Mocno akcentowany mistycyzm i misja dziejowa odbudowy narodu rumuńskiego według lidera Legionu, nie mogła odbyć się bez rozwiązania kwestii żydowskich, stąd obok mistycyzmu chrześcijańskiego i ideologii nacjonalistycznej pojawienie się kwestii żydowskiej, jako zagrażającej bezpośrednio idei chrześcijańskiej wizji nacjonalizmu rumuńskiego. W późniejszym okresie *Capitanul* zerwie znajomość i współpracę z dotychczasowym mentorem Cuzą i wraz z ojcem stworzą radykalny i prężnie rozwijający się ruch legionowy, który przeschepi postulaty antyżydowskie na grunt ludności wiejskiej, szerząc swoje ideały i postulaty wśród wiosek i mniejszych miasteczek. Wraz z rozrostem organizacji i zdobywania poparcia wśród kapłanów prawosławnych, wątek antysemitki co już wcześniej sygnalizowałem został poparty przez religijne nauczanie, co szczególnie dla wiernych stało się ważnym argumentem, bo przecież wygłaszanym przez ich kierowników duchowych, ludzi Boga. Na fali militarystycznych fascynacji, Codreanu powołał Żelazną Gwardię, której ideologia szczególnie zaznaczała, że elementy obce narodowi są dla niego niszczące, z tego względu jako formę obrony postulowała przemoc wobec Węgrów, Greków, Turków, Ukraińców i Żydów. Wobec Żydów gwardziści postulowali odebranie im obywatelstwa rumuńskiego.[11] Przejawiali oni także swoją aktywność na uniwersytetach, gdzie walczyli min. o wprowadzenie *numerus clausus*, które z czasem przerodziło się w *numerus nullus*. Członkowie Gwardii mieli zakaz jakiegokolwiek kontaktu z Żydami, nie mogli wchodzić do sklepów czy domów żydowskich, bądź ścisnąć dłoni Żydów. Wraz z europejskimi podróżami Codreanu i zachłyśnięciem się ideologią narodowego socjalizmu pod koniec lat 30. ugrupowanie postulowało „całkowitą eliminację Żydów” poprzez stworzenie obozów pracy przymusowej dla Żydów i inżynierię rasową. Sam Codreanu uważał, że Niemcy likwidując „zagrożenie żydowskie” walczą o cywilizację europejską.

Dzięki zdolnościom organizacyjnym i aurze mistycyzmu, którą roztaczał wokół siebie Codreanu, udało mu się przekonać do współpracy wielu wysokich rangą wojskowych, którzy wspierając działania Legionu stali się jego protektorami. Większość z nich przejawiała także postawy antysemityczne, stąd nie dziwi min. organizowanie przez Bagulescu najście na redakcje czasopism należących do Żydów.[12] W latach 30-tych to właśnie wojskowi, którzy często czynnie brali udział w napadach na studentów żydowskich będą równie aktywnie wspierać oskarżonych legionistów przez sądami, nieczęsto przyczyniając się do ich uniewinnienia. W wywiadzie udzielonym pismu „Prosto z Mostu”, Codreanu tak określał „zagrożenie żydowskie”: *Żydzi, to naród, z którym musimy walczyć w inny sposób, gdyż oni walczą perfidią. W ich rękach znajdują się miasta.*[13] Na pytanie jak wyobraża sobie on rozwiązanie kwestii żydowskiej odpowiedział iż *chodzi tu o prawo obrony narodu w obliczu żydowstwa, ratowania handlu, posiadania własnej prasy. [...]* *Handel uprawiany przez Żydów musiałby być bezwarunkowo obciążony specjalną taksą.*[14] Jak widać chociażby na przykładzie ruchu legionowego i samego Codreanu postulaty antysemityczne były jednymi z głównych fundamentów ideologicznych ruchu rumuńskiego. Często odwoływano się do argumentów, takich jak obrona handlu, pokazywanie iż Żyd może być dla Rumuna zagrożeniem, które odbiera mu pracę, pieniądze, a w końcu chleb.

Antysemityzm legionowy począwszy od połowy lat 30-tych radykalizował się jeszcze bardziej i zaczął zwalczać nawet ludzi, którzy do niedawna byli dla nich mentorami. Panuje powiedzenie, że każda rewolucja pożera swoje dzieci, nie inaczej było na rumuńskiej scenie nacjonalistycznej. Nicolae Iorga, jeden z czołowych antysemitów, ideowy patron wielu młodych działaczy legionowych, w końcu premier Rumunii, został zamordowany przez legionistów, ponieważ według nich manifestował umiarkowanie i wstrzeźliwość w deklaracjach antysemitycznych. Co ciekawe to właśnie Iorga jest autorem słów iż *Żydzi dla Rumunów stanowią element pasożytniczy charakteryzujący się pazernością*, gdzie indziej nazywając ich intruzami i najeźdźcami.

Podobnie postąpiono z dr. Cuza[15], który skłócony z Codreanu zwalczał ruch legionowy jako niedojrzały i...zaprzedany międzynarodowemu kapitałowi. Śmierć Codreanu nie zakończyła antysemitycznych wystąpień. Ruch legionowy nadal trwał, tak jak i antysemityczne przekonania sporej części narodu rumuńskiego. Swój tragiczny finał dążenia legionowe znajdują podczas wydarzeń w Jassach gdzie w czerwcu 1941 roku na rozkaz Iona Antonescu dokonano pogromu na ludności żydowskiej w której zabito około 13 000 Żydów.

Tym co wyróżniało rumuński antysemityzm było silne poparcie wśród intelektualistów oraz klasy politycznej. W odróżnieniu od europejskiego antysemityzmu, który w większości przypadków propagował wizerunek Żydów jako niższych rasowo, rumuński nacjonalizm posiadający silne oparcie w mistycyzmie utożsamiał społeczność żydowską z diabłem, nadając im diaboliczne cechy. Codreanu jako przywódca *krucjaty odnowy narodu rumuńskiego* postanowił wydać walkę temu *diabolicznemu nasieniu*, które chciało zniszczyć naród rumuński. Warto zaznaczyć, że ta „atrakcyjna” retoryka religijna bardzo łatwo oddziaływała na masy społeczne, które podobnie jak legionowy przywódca uważały iż jest to konieczny krok do pokonania *wroga zagrażającego rumuńskiemu zmartwychwstaniu*. Ten mistycyzm i walkę ze społecznością żydowską uważał za *świętą wojnę*. Tym co jest zauważalne na rumuńskiej scenie politycznej tamtego okresu to fakt, że postrzeganie „sprawy żydowskiej” częściej i trwalej łączyło polityków i społeczeństwo rumuńskie niż inne postulaty.

Oleś Wawrzkowicz

Bibliografia:

1. Koziół, *Żelazna Gwardia*, Warszawa 2016,
2. Codreanu, *Droga Legionisty*,
3. Demel, *Historia Rumunii*, Wrocław 1986,
4. Bartyzel, B. Szlachta, A. Wielomski, *Encyklopedia Polityczna. Tom I*, Radom 2007,
5. Bartyzel, *Encyklopedia Polityczna. Tom II*, Radom 2009,

6. Volovici, *Nacjonalizm i „kwestia żydowska” w Rumunii lat trzydziestych XX wieku*, Kraków- Budapeszt 2016,
7. Niculescu, *Mistyk z rewolwerem. Corneliou Codreanu*, Kraków 2019.

[1] L. Volovici, *Nacjonalizm i „kwestia żydowska” w Rumunii lat trzydziestych XX wieku*, Budapeszt 2016, s. 14.

[2] *Naszymi ideami były nacjonalistyczne idee Eminescu. Inspiracją i oparciem dla naszych tekstów był Eminescu, pozostawaliśmy pod przemożnym wpływem Eminescu- nacjonalisty.* [P. M. Vizirescu]

[3] Co ciekawe antysemityzm Eminescu nie identyfikował się z chrześcijaństwem, odwołując się w swojej poezji min.

do buddyźmu, agnostycyzmu i ateizmu, co z kolei w połączeniu z jego tradycjonalistycznymi poglądami przypomina hybrydowe połączenie ateizmu, antycznych religii wschodnich i tradycjonalizmu w wykonaniu Juliusa Ewoli.

[4] Z lat młodości Ciorana pochodzą jego słowa: *Węgrzy nienawidzą nas z oddalenia, Żydzi – z samego serca naszego społeczeństwa. Żydzi są pod każdym względem niezwykli, obciążeni przekleństwem, za które odpowiada jedynie Bóg. Gdybym był Żydem, natychmiast popełniłbym samobójstwo. Zdrowie organizmu narodowego mierzy się zawsze intensywnością jego walki z Żydami, zwłaszcza gdy z racji swej liczebności i arogancji opanowują oni naród. Nie chodzi tu o nic więcej, jak tylko o kwestię oczyszczenia. Nasze wrodzone wady są niezmiennie niezależne od epoki. Problem Rumunii wcale nie byłby mniej poważny, gdybyśmy usunęli wszystkich obcych. Dopiero wtedy by się zaczął, gdybyśmy dali się bowiem zaślepić temu zadaniu, nie widzielibyśmy już własnej rzeczywistości, własnej nędzy.*

[5] W 1922 roku, w wyniku różnic co do kierunku dalszego działania, Cuza zerwał współpracę z Iorgą, powołując do życia Unię Narodowo-Chrześcijańską (Uniunea Național Creștină). Rok później w marcu, razem z C. Codreanu założył Liga Apărării Național Creștine, czyli Ligę Obrony Narodowo-Chrześcijańskiej. Natomiast w wyniku fuzji w 1935

roku /Partią Narodowo- Agrarną Octaviana Gogi powstała Partia Narodowo- Chrześcijańska.

[6] Wczesna myśl maurrasowska była do tego stopnia przesycona gnostycyzmem (traktując Kościół Katolicki instrumentalnie), że nie wahała się przed atakiem na Pismo Święte i jego twórców. Maurras w *Préface de: Le chemin de Paradis* napisał iż: *Nie znam innego Jezusa, jak z naszej tradycji katolickiej, i nie wyrzeknę się jasnego porządku Ojców, Soborów i Papieży, oraz wszystkich wielkich ludzi współczesnej elity, dla zaufania pismom **czterech ciemnych Żydów**.*

[7] L. Volovici, Nacjonalizm i „kwestia żydowska” w Rumunii lat trzydziestych XX wieku, Budapeszt 2016, s. 204.

[8] T. Niculescu, Mistyk z rewolwerem. Corneliu Zelea Codreanu, Kraków- Budapeszt 2019, s. 22- 23.

[9] Znany pisarz Ioan Slavici tak opisywał straszną dla niego perspektywę „wszechobecnej, żydowskiej dominacji”: *Do głowy nie przyjdzie Rumunowi, że mógłby spotkać Żyda w administracji gminnej, powiatowej, w sądzie i w wojsk, nie pomyśli nawet, że profesorem, deputowanym, ministrem, ba, wręcz bojarem mógłby być Żyd. Nie wie dlaczego, ale czuje, że to stać się nie może.* [w:] L. Volovici, Nacjonalizm i „kwestia żydowska” w Rumunii lat trzydziestych XX wieku, Budapeszt 2016, s. 56.

[10] Inną motywację dla postulatów antysemitycznych formułuje przyszły lider rumuńskiego ruchu legionowego- Vasile Marin: *Nie jesteśmy antysemitami dlatego, że ktoś zajął nasze miejsca; owszem, z tego powodu również, ale nie to jest najważniejsze. W żywym ciele narodu pojawia się inne ciało, które zniekształca sens jego życia, zniekształca sens rozwoju w życiu moralnym i sens kultury w życiu duchowym.*

[11] Filozof Constantin Noica uważał że *antysemityzm był rodzajem proroczego objawienia* i objawił się on w pełni w Żelaznej Gwardii, będąc *przejętym misyjnym duchem Legionu*. Antysemityzm dla niego jest *koniecznością historyczną, narzuconą przez wysiłek narodu dążącego do odrodzenia się i współczuje swym żydowskim przyjaciółom.*

[12] T. Niculescu, *Mystyk z rewolwerem*. Corneliu Zelea Codreanu, Kraków 2019, s. 97.

[13] B. Kozieł, *Żelazna Gwardia*, Warszawa 2016, s. 110- 111.

[14] *Ibidem*, s. 111.

[15] Nie kto inny jak Cuza domagał się *natychmiastowego usunięcia żydostwa z każdej możliwej dziedziny i osiedlenia go na terenach, gdzie mogłoby rozwijać swoją kulturę.*